

Zeszyt Osuchowski

Nr 9

OSUCHY 2012

WYDAWCA

Gminny Ośrodek Kultury w Łukowej
23 – 412 Łukowa
tel. 0 84 687 40 60
e-mail: gokluk1@wp.pl
www.lukowa.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Wiesława Kubów, Maria Działo, Elżbieta Nizio, Tomasz Brytan

DRUK

Z.P. „Helvetica”
ul. Włosiankarska 13
23-400 Biłgoraj

ZDJĘCIA

Biblioteka KUL, zbiory prywatne Czesława Mużacza, Józefa Kukułowicza,
Marka Skrzyńskiego

W plutonie „Pazura” z oddziału „Corda”



Urodziłem się 31 stycznia 1927 roku w Smółsku pod Biłgorajem i całe życie tam mieszkam. W czasie okupacji byłem członkiem miejscowej organizacji w Smółsku. Wstąpiłem do niej na wiosnę 1942 roku. Pseudonim wybrał mi Jan Micyk „Liść”. Mój pseudonim to „Hel”. Pamiętam, że wszyscy chłopcy od nas należeli do organizacji to i ja wstąpiłem. Wstępowaliśmy tak jeden z drugiego, jak to młody człowiek. Nikt tam się nie krył przed drugim co robi, rozmawiało się o tym. To były można powiedzieć takie otwarte karty. Mieliśmy przeszkolenie prowadzone przez Andrzeja Rataja „Kmicica”, który był przedwojennym kapralem w wojsku. Czasem po prostu w kilku szliśmy do lasu i strzelaliśmy do tarczy z ostrej amunicji. Andrzej Rataj uczył nas strzelać, okopywać się, jak się w boju czołgać, wycofywać. Pamiętam, że „Kmicic” dużo nas w tym przeciwczył. Trochę do tego lasu chodziliśmy. W okresie przynależności do miejscowej organizacji nie mieliśmy wspólnych akcji. Były jedynie te szkolenia.

W czasie okupacji, w latach 1941- 1942 byłem robotnikiem leśnym. Pamiętam takie wydarzenie, jak w czerwcu lub lipcu 1942 roku pasłem krowy w lesie pod bagnem „Margółka”. Byłem tam wtedy ze Stachem Kapką i Marią Jastrzęb z Aleksandrowa. Ta dziewczyna to była taka pastuszka. Było to już porą popołudniową. Patrząc, a tu jadą cztery furmanki ze świniami i z dziesięciu uzbrojonych ludzi. Przy nich jechał też na koniu człowiek ubrany w polski mundur wojskowy. Potem dowiedziałem się, że to byli partyzanci od „Groma”. Ten człowiek na koniu to był najprawdopodobniej sam „Grom”. Mówi on do mnie, że zaraz przyjadą Niemcy i żeby nie zdradzić, że ich widzieliśmy. Partyzanci z oddziału „Groma” zaczęli się pod takimi sosenkami pod Majdanem Nowym i tam zabrali świny, które były przeznaczone na kontyngent dla Niemców. Gdy ich zobaczyłem to właśnie drogą „Dylówką” wraz z tym łupem na las jechali. Niemcy złapali ślad za nimi i napotkali nas. Było to za jakąś godzinę, do półtorej czasu jak zobaczyłem Niemców

idących pełną obławą na las. W tym czasie Stach Kapka z tą dziewczyną oddalili się ode mnie. Ich najpierw ci Niemcy kontrolowali. Pamiętam, że do mnie podeszło trzech Niemców. Jeden z nich był gestapowcem a dwóch było w samych mundurach. Któryś z nich łamaną polszczyzną zapytał mnie czy widziałem bandytów. Byłem zalekniony. Gestapowiec to zobaczył i uderzył mnie w twarz. Fiknąłem koziołka i oberwałem jeszcze parę kopów. I znowu pytają „widziałeś bandytów”. Pytali jeszcze, ile czasu ja te krowy tu pasę. Odpowiedziałem niezgodnie z prawdą, że z 10 minut ale tak naprawdę to było już dobrze ponad godzinę. Niemcy pytali, dlaczego pasę tu krowy. Odpowiedziałem, że jestem robotnikiem leśnym i mam pozwolenie od leśniczego. Ci Niemcy poszli dalej. Potem już Stacho Kapka powiedział mi, że ci ludzie na furmankach to byli partyzanci z oddziału „Groma” i że te świny, to oni Niemcom zabrali w sosenkach pod Majdanem. Niemcy wieźli je do Biłgoraja ale skąd wieźli, to nie wiem. „Groma” poznałem na Osuchach już po wyzwoleniu.

Latem 1943 roku chłopaki z drugiego końca Smółska, należący do naszej placówki dowiedzieli się skądś, że będą w okolicach zrzuć dla partyzantów. Do tej pory bardzo mnie dziwi, jak oni się dowiedzieli o tych zrzutach. Te chłopaki potem należeli do oddziału „Corda”, byli to : Jan Larwa, Józef Larwa, Franciszek Dziduch, Józef Dziduch, Jan Buczek i Bronisław Micyk. Poszły więc nocą na łąkę i zaczęły palić ogniska. Rzeczywiście zrzuty z samolotów były ale znajdowały się tam same rzeczy szpitalne np. jakieś bandaże, opatrunki dla rannych. Potem partyzanci od „Groma” dowiedzieli się o tym, że chłopaki przechwycili te rzeczy ze zrzutów i zabrali im.

Na Dylach była Ochotnicza Straż Pożarna. Dyle należały wtedy do Puszczy Solskiej. Niemcy zobowiązali tych strażaków, że ileś osób muszą dowieźć do Arbeitsamtu czyli do urzędu, który zajmował się wywozem ludzi na roboty przymusowe do Niemiec. Każdy strażak dostawał od Niemców po 12 kilogramów cukru za każdego dostarczonego człowieka. Ci strażacy wiedzieli kto był na liście wywozu do Niemiec. Miałem jednak kuzynów Ratajów na Dylach i oni powiedzieli ojcu, że jestem na tej liście. Ostrzegali także, kiedy nie należy spać w domu i kiedy trzeba uciekać aby nie dać się złapać. Niemcy przyjeżdżali rano. Jak wpadali to mnie nie zastawali. Uciekałem przed nimi gdzieś tak od początku kwietnia do początku maja 1944 roku. A miałem kolegę Stacha Kapkę „Orła” mieszkającego w Smółsku Dużym, który był w partyzantce w oddziale „Corda” tj. Józefa Steglińskiego. Poprosiłem go, żeby spytał się w oddziale czy mogę do nich przyjść. Na przełomie kwietnia i maja 1944 roku trafiłem do lasu do oddziału „Corda”.

Musiałem się u niego zameldować. Trzech nas wtedy przyszło. Oprócz mnie, byli to Piotr Potocki „Pociecha” i Jan Grab, obydwaj ze Smólska. Potem wszyscy we trzech trafiliśmy od plutonu „Pazura”. Powiedziałem do „Corda”: „Melduję się i chcę zostać”. Komendant pytał o powody takiej decyzji, na co ja opowiedziałem swoją sytuację. Koledzy to potwierdzili. „Cord” mówił do mnie per „pan”, natomiast do „Corda” zwracaliśmy się: „Komendancie”. Miałem już zakupiony wcześniej w Aleksandrowie karabin Mauser. Kupiłem go za pół ceny bo od kuzyna Jana Komady. We trzech tj. ja, sąsiad Józef Sarzyński i Franciszek Kapka pojechaliśmy saniami zaprzęgniętymi w konia do kuzynów po tę broń. Kuzyni nazbierali tej broni w lasach na Mulacinie za Aleksandrowem (Sigła), gdzie została po boju z Niemcami z 1939 roku.

Przysięgę składałem tuż przed akcją w czerwcu 1944 roku. Składałem ją przed „Cordem”. Dużo nas wtedy składało tę przysięgę. Byli to chłopcy z Dyl, Rap Dylańskich, Woli Małej i Dużej. Masa była ze Smólska Dużego i Małego, z Brodziaków, Majdanu Starego i Nowego, Rogali, Dereżni, Biłgoraja i z Zań. Przysięgę każdy składał pojedynczo. Powtarzał jej słowa przed „Cordem” a potem „Cord” całował się z nim i witał w oddziale. Niemcy byli już w tym czasie w lasach janowskich.

Komendantem naszym był Józef Stegliński „Cord”. Wiem, że w czasie okupacji miał on zakład wulkanizacyjny w Biłgoraju na przeciwko gestapo. Stamtąd prowadził obserwację. Kiedyś przyszli do niego Niemcy i pytają, gdzie jest właściciel. Komendant był wtedy ubrany bardzo biednie, cały umorusany więc oni nie przypuszczali, że mają go przed sobą. Wtedy „Cord” powiedział im, że właściciela nie ma ale za godzinę wróci. Oni odeszli a „Cord” w nogi. Wtedy poszedł już do lasu.

Obóz „Corda” mieścił się za Brodziakami. Z plandek zrzutowych spadochronów robiliśmy namioty. Jeden był duży a ze trzy takie mniejsze. Pod jednym takim namiotem z 50 nas tam mieszkało. Pośłania były ze słomy. Jak przyszedłem do domu po około dwóch tygodniach pobytu w obozie to ojciec mało nie zemdlął. Pudełko wszów z siebie nazbierałem. Pamiętam, że w obozie były jeszcze zrobione takie trzy szopy z desek i słomy. Komendant „Cord” i nasza łączniczka Julia Trembułowa „Klementyna” mieszkali oddzielnie i mieli prycze. Tam u nich było wyścielone i czysto. Dla skazańców były wałki tj. cięte kręglaki z sosen, nakryte plandekami. Przy nich stał jeden wartownik. Skazaniec na noc miał kajdany na rękach i nogach, zaś za dnia go rozkuwali.

W sztabie obozu byli oprócz „Corda”, Franciszek Nizio „Jagoda”, Józef Witek „Grot”, Eugeniusz Rosłan „Sokół”, Kazimierz Pacyk „Grom” z Gromady,

Wawrzyniec Róg „Lis” z Brodziaków, Tadeusz Piotrowski „Pazur”, Marceli Drzewski „Śniardwy”. Pamiętam, że „Śniardwy” tylko chodził i smutołozzył, nie trzymał się z pozostałymi z bliska, nie pchał się do niczego.

Przypominam sobie, jak kiedyś staliśmy w kolejce po posiłek. Wyglądaliśmy się przy tym. Wtedy Witek, aby nas zdyscyplinować, wałnęła Franciszka Mroza menażką w łeb. To było tak w złości. Wszyscy byli źli na Witka, nikt jeść nie chciał. Nawet komendant „Cord” był zirytowany tą sytuacją. W obozie mieliśmy 18 koni. Dla nich były brogi. W Tereszpolu i na Szozdach mają łąki niedaleko placówki. Oni tam na tych łąkach takie właśnie brogi stawiali. Daszki z brogów zabieraliśmy dla koni.

W obozie mieliśmy ćwiczenia, zajęcia, okopywanie się, zapoznanie z bronią. Mieliśmy angielskie PIAT-y i sztockesy Sztockesami potocznie nazywaliśmy Polskie moździerz. Wstawało się o godzinie 6⁰⁰ - 7⁰⁰ rano na sygnał trąbki gajowego. Była to trąbka z jednym dźwiękiem. Każdy po takiej pobudce szedł się ochlapać i przetrzeć oczy w takiej wykopanej studziennie. Potem wszystkie szły na śniadanie złożone z kawy i zupy lub chleba ze smalcem. Każdy miał swoją menażkę wziętą z domu. Ja miałem wojskową z 1939 roku. Stoły były drewniane na otwartej przestrzeni, na takich krzyżach- palach. Jedzenie było dobre. Mieliśmy kucharza z Okrągłego o nazwisku Jan Surma „Chochla”. Dowództwo miało inne jedzenie niż my. Było ono bardzo dobre, pieczywo, kielbasy, wędliny... My kielbasy nie mieliśmy. Oni mieli nawet osobny stół, z nami nie jedli. Po śniadaniu była zbiórka i ćwiczenia. Komendant na zbiórce nas dzielił i kazał wystąpić oddzielnie Dywersji, szkole podoficerskiej i nam. My pozostali, byliśmy taką świeżynką przejściową, jak rekruci w wojsku. Dywersję tworzyło takie „stare wojsko”, które z Komendantem w lesie stale przebywało. Zazwyczaj osoby te nie mogły już mieszkać w domach. Byli to chłopcy z Biłgoraja, Dereźni, Dylów, Woli Małej i Dużej. Tych „starych zabijaków” było ze 40. Wśród nich był i Franek Nizio „Jagoda” ze swoimi dwoma braćmi tj. Szczepanem i Józefem a także Józef Witek „Grot”, Kazimierz Pacyk „Grom”, Wincenty Pacyk „Żwawy”, Józef Michałowski „Warszawiak”. Oni mieli swoje zajęcia, do których my nie mieliśmy dostępu. Nie wiem co oni robili ale Komendant im coś roztłumaczał. Ja tam nie chodziłem więc nie wiem dokładnie.

Szkoła podoficerska też miała wystąpić oddzielnie. Reszta, takie „króliki” czyli my to albo rozejść się, albo za broń i na ćwiczenia. Ćwiczenia miałem głównie z „Pazurem” tj. Tadeuszem Piotrowskim. Pochodził on z Poznania. Przeważnie uczyliśmy się okopywać przed nieprzyjacielem, nacierać na niego, zapoznawać się z bronią czyli zarówno wykłady na ten temat, jak

i ćwiczenia praktyczne tj. rozbieranie, czyszczenie i konserwacja broni. A mieliśmy niemieckie lkm i jakąś angielską broń. Była i musztra. Pamiętam również, że Józef Witek „Grot” żabki kazał nam ćwiczyć. Skakanie tych żabek to było bardzo ciężkie ćwiczenie. To było za karę, jak mu się coś nie spodobało a jemu ciągle się coś nie podobało. On kiedyś był w tajnej policji niemieckiej, potem uciekł stamtąd i poszedł do partyzantki. Został zastępcą dowódcy „Corda”. Ćwiczenia trwały gdzieś tak od godziny 8⁰⁰ rano do obiadu. Potem dwie godziny wolnego, podczas których zjedliśmy obiad i potem znów jakieś zajęcia ale przeważnie były to już wykłady o broni. Na temat orientacji w terenie nie mieliśmy wykładów. Z tym zapoznawałem się już po wyzwoleniu, gdy byłem w wojsku. Na obiad zazwyczaj jedliśmy kawał mięsa z kaszą lub ziemniakami. Nigdy nie było tak, że nie mieliśmy co robić w ciągu dnia. Zawsze były jakieś ćwiczenia, zajęcia. Spać to mogła pójść jedynie ta Dywersja. Pamiętam takie zdarzenie, jak raz poszliśmy do lasu na wykłady z broni z Tadeuszem Piotrowskim „Pazurem”. Patrzymy, a to chłop prosto na nas idzie. Jak przyszedł to mówi do nas : „Panowie oddata te konie czy nie”. Nie dopuścili blisko bo bały się, że kogoś może poznać. Był to chłop z Tereszpola. Partyzanci wcześniej pojechali na jakąś robotę do Tereszpola i wzięły od niego konie , tj. „pożyczyły”. Te konie były tutaj na placówce więc on przyszedł bo wiedział gdzie jest obóz. Zaraz wysłaliśmy gońca do Komendanta, że zgłasza się człowiek po odbiór swoich koni. No i gdzieś Komendant poszedł do niego, tam coś pogadały. Potem ja sam widziałem, jak mu te konie oddawały.

Ciszę nocną oznajmiał sygnał trąbki. W nocy wystawianych było dwóch wartowników, którzy zmieniali się co dwie godziny. Ja też stawałem na warcie.

„Chochla” umiał śpiewać piękne piosenki i miał dobry głos. Często śpiewał. Komendant „Cord” pytał się go „coś wydumał na dzisiaj” i on śpiewał.... Przeważnie śpiewaliśmy śmieszne piosenki, nie było jakiś patriotycznych czy religijnych. Były to takie śmieszne, z humorem piosenki. „Chochli” trzeba było pomagać kartofle obierać i w innych pracach kucharskich. Byliśmy wyznaczani do służby kuchennej. Czasem, jak się mu pomagało to się mięso podkradło. On tam nam tego nie bronił.

W czerwcu 1944 roku ogniska były co wieczór. Śpiewaliśmy na nich. Śpiew organizował ten „Chochla”. W obozie było cztery kobiety. Dwie przywiezione, jako aresztowane z Dereźni. Były to Polki. Na jedną mówili „Łabędziowa”. Była to Katarzyna Różańska z Dereźni. Była też nauczycielka z Dereźni, którą zabili ale ja nie wiem, jak się nazywała. Ona była podejrzana o współpracę

z policją czy z gestapo, nie wiem dokładnie. Te kobiety były przez dłuższy czas w obozie. One chodziły po jego terenie wolno, nie były w tych okraglakach, w których przetrzymywano aresztowanych mężczyzn ale nie wolno im było uciekać. Ta nauczycielka chciała uciec i już się jej prawie udało. Zrobiła to wtedy gdy oddział poszedł na zajęcia i nikogo więcej w obozie nie było. Ale jeden partyzant poszedł na łąki zabić sarnę czy koziołka i ją zobaczył. Wtedy ją zabili. Nie wiem kto ją zabił. Jak wróciliśmy do obozu to już jej nie było. Ta jedna aresztowana, „Łabędziowa” to na Osuchy poszła. Pozostałe dwie kobiety również poszły na Osuchy. Z jedną z Bujar to się potem Eugeniusz Rosłań „Sokół” ożenił. W Osuchach byli razem, tam ją złapali. Pewnie jakieś dowody czyli dokumenty miała ze sobą, pewnie umiała się tłumaczyć, że jej nie zabili tylko zatrzymali i wysłali na Majdanek. Rosłań zaś przeszedł przez okrażenie. Czwartą kobietą, która również poszła z nami do okrażenia była nasza łączniczka Julia Trębuła „Klementyna”.

Kobiety w obozie szyły nam a raczej łątały. Miały maszyny do szycia, które przed koncentracją w czerwcu 1944 roku partyzanci zakopali na placówce.

W obozie oczywiście był alkohol ale było go bardzo mało. Czasami dawano nam wódkę ale wychodziło tego po dwóch na ćwiartkę. Czyli ośmiu na 1 litr. Ta wódka była zabrana Niemcom. Pamiętam, że cały samochód jej wtedy zabrali. Na placówce stała w skrzynkach przy namiocie i była ponakrywana gałęziami. Jak te gałęzie zaczynały więdnąć, to się je zwalało i cięło drugie aby znów przykryć skrzynki. Komendant mówił: „Chłopaki uważajcie, żeby wódka gdzie nie odbijała światła bo jak samolot leci to zauważy”. A szef biłgorajskiego gestapo Colb latał bardzo nisko nad lasami, aż się drzewa prawie kołysały. Miał on taki samolot kukuruźnik. Przyleciał kiedyś nim na Brodziaki i strzelał w chałupę, która wtedy się spaliła. Nie wiem czy Colb osobiście latał, czy miał pilota. Po prostu u nas na placówce mówiło się że to Colbowy samolot. Nigdy nas jednak nie wypatrzył, gdyż w tym miejscu las był gęsty i bardzo wysoki, drzewa skupione blisko jedno obok drugiego. Ale były w środku takie małe półka – łączki. Jak byliśmy na ćwiczeniach na tych półkach i zobaczyliśmy samolot to każdy uciekał do lasu.

Wracając do tej wódki to dawano ją nam tak przy niedzieli, od czasu do czasu, jak ten Józef Witek „Grot” miał dobry humor, no i Komendant. Wtedy Komendant przychodził i mówił: „No to chłopaki dzisiaj wypijem”. No i tę litrę na ośmiu. To co to było? Jak dla psa mucha. Gdy się stało w nocy na warcie to się tej wódki zawsze z litrę podkrađło. Potem chowało się w jakimś miejscu w lesie, a jak się szło do domu to po drodze ją się zabrało. Do domu

na Smólsko chodziłem prosto przez las bo było bliżej. Dowództwo oczywiście zorientowało się w tym procederze. Potem Komendant gadał: „Chłopaki, nie kradnijcie wódki”. Nie mówił, że za tę kradzież będą jakieś kary tylko mówił, że brakuje wódki. Parę razy nas tak upominał. Ta wódka była w litrowych butelkach. Wydaje mi się, że butelki były zakorkowane, czy lakowane. Na pewno były w skrzynkach.

Naszą łączniczką była Julia Trębuła „Klementyna”. Nie przebywała ona w obozie przez cały czas. Na co dzień przebywała w Biłgoraju. Nocowała od czasu do czasu i szła. Ona przeważnie z Komendantem rozmawiała. Zdawała mu relacje z tego co się dzieje w okolicy. Zawsze potem naładowali jej coś w torbę, jakieś jedzenie i szła. Ona szła tędy na Różnowkę, Brodziaki i Edwardów. Zawsze tędy przychodziła pieszo. Czasem ją w odwrotną stronę odwoziły furmanką. Pamiętam też taką sytuację, że „Cord” wysłał ją do Biłgoraja żeby zobaczyła czy słychać w mieście strzały, które padały na naszej placówce z ckm. Ona potem wróciła i opowiadała, że słychać było te strzały. Mówiła, że Niemcy wtedy odwracali głowy i mówili, że to „polskie bandyty strzelają”. Sam słyszałem, jak o tym opowiadała. Natomiast z innymi partyzantami np. ze mną, czy z drugim, czy trzecim „Klementyna” nie rozmawiała, nie miała o czym z nami rozmawiać. Ona składała meldunki tylko Komendantowi.

Pamiętam, że Jan Baczewski „Głaz” woził dla Niemców żywność, chyba mięso, taką karą kłaczą i uciekł do nas z tą żywnością. Tam była cała skrzynia, taka żelazna i tam były takie półki w tej skrzyni. A on uciekł Niemcom i przyjechał do nas i został już w oddziale.

Zapamiętałem też taką niezwykłą sytuację, gdy mieliśmy zajęcia na placówce. Z drugiej strony łąki, w odległości około 300 metrów otworzono do nas ogień. Szybko wynieśliśmy lkm-y oraz ckm i zaczęliśmy strzelać. Okazało się, że to Komendant „Cord” wraz z kilkoma partyzantami ze szkoły podoficerskiej poszedł na tę łączkę i zaczął nas ostrzeliwać w celach szkoleniowych. Chciał sprawdzić szybkość naszej reakcji. Przypominam sobie, że był z nim wtedy między innymi Wacław Kuliński, Franciszek Mróz i Stacho Kapka. Więcej jak dziesięciu ich tam nie było. Jak zaczęliśmy strzelać przekonani, że to atakuje nas wróg to „Cord” krzyczał „Nie strzelać!” a tu każdy był już nastawiony żeby bić. To wszystko trwało z 10 minut może. Potem Komendant śmiał się i mówił „Jaki duch w partyzantach”. Byłem wtedy na tej strzelaninie. Egzamin u „Corda” zdaliśmy.

Uzbrojenie mieliśmy bardzo różne. Przede wszystkim większość chłopaków, która wstępowała do oddziału „Corda”, przynosiła swoją broń.

Reszta miała broń ze zrzutów. Dużo mieliśmy tej zrzutowej broni i była to broń dobra, sprawna. Amunicja do niej też była. Zrzucały się takie bębny i dużo tej amunicji prostowaliśmy, bo nie wchodziła w komory zamkowe. To musieliśmy to prostować. Mieliśmy takie młotki specjalne robione z drewna i nie na drzewie tylko do deski prostowaliśmy. Prostowało się i wkładało w te komory żeby sprawdzić czy letko wchodzi. Zdarzały się takie wypadki, że po strzale gilza zostawała bo zamek nie mógł jej wyciągnąć. Były takie zacięcia i gdy to zacięcie się urwało to już wtedy broń była nieczynna (*chodzi o pazur zamka*). Tą zrzutową broń, niemieckiego Schmeissera dostał m.in. Wacław Kuliński „Ryś”, Tadeusz Piotrowski „Pazur” i tacy co znaczniejsi. Ja, jak i większość chłopaków mieliśmy swoje stare, zdezelowane karabiny. Wziąłem z tego zrzutu dwa granaty angielskie, piękne, czyściutkie. Ach, jak my byliśmy zawiedzeni na nich, że coś okropnego. Jakies dwa lub trzy tygodnie po bitwie pod Osuchami, wojska niemieckie wraz z Kałmykami stacjonowały w Aleksandrowie. Pamiętam, że w tym czasie poszliśmy we dwóch z kolegą Franciszkiem Kapką do lasu. Miałem te dwa granaty. Wracamy z powrotem i patrzymy a około 800 metrów od nas przy takich sosenkach stało dwóch Kałmyków na koniach. Trzymali dwóch jakichś chłopów. Jak nas zobaczyły to tych chłopów zostawiły i pierunem do lasu. Niczym myśmy się dobrze schowali te Kałmyki już były w lesie. Patrzymy, a oni konie wiążą do sosen. To szczęście żeśmy mieli niedaleko schron i żeśmy się schowali do tego schronu. Mówimy między sobą tak „Może nas nie zauważyły? A jak nas zauważyły?”, ten mój kolega, który był starszy ode mnie, mówi od mnie: „Daj granata, wyrzucim go a kiedy wybuchnie to my w nogi”. I byliśmy się zawiedli. Te Kałmyki przeszły przez ten schron, chodziły po nim ale nas nie znalazły. Pod wieczór wyleźliśmy. Na drugi dzień poszliśmy próbować te granaty, żaden nie wybuchł. Felerny sprzęt.

Wracając do uzbrojenia, to mieliśmy w oddziale lkm- y niemieckie, było ich dużo. Była to broń taśmowa. Posiadaliśmy też niemieckie Schmeissery, był jeden ckm i rkm- y polskie. W moim plutonie dowodzonym przez Tadeusza Piotrowskiego „Pazura” mieliśmy dwa lkm- y i jeden rkm. Rkm to broń maszynowa na magazynki, 20 sztuk wchodziło w magazynek i od spodu się zakładało. Schmeisserów było trochę, nie umiem dokładnie określić ich liczby. To była broń seryjna, też magazynek się zakładało. Były ze zrzutu takie co pod marynarką można było nosić, steny angielskie. Tego to było dużo ale ile to nie wiem. Ja miałem Mausera, zwykły karabin. Prawie każdego z tych „królików” takiego miał. Moździerzy specjalnych nie było, jedynie PIAT-y. To były takie korytka z rączkami i sprężyną. Sprężynę się naciągało

i wkładało pocisk. Zdrowy człowiek musiał być by tę sprężynę naciągnąć. Do tego trzeba było mieć siłę. Potem ta sprężyna pchała, odbiła i pocisk leciał. Z tego tylko raz można było strzelić i potem od nowa zakładać. To seryjne nie było, to tak jak z moździerza. Moździerz stawia się i pcha się pocisk a on idzie w górę. PIAT-ów było z 5 czy 6 sztuk. Było też jedno działko p-panc. Ono pochodziło ze zrzutów. Pamiętam, że jak go przywiozły na placówkę to go próbowali. Ten porucznik Marceli Drzewski „Śniardwy” go próbował. Taką blachę stalową gdzieś przywiozły z czołga, i postawiły na jakieś ... no cholera daleko. Chcieli sprawdzić czy przebije ten pancierz. Ech przebiło.... Ech, ten „Śniardwy” sam się śmiał, taki zadowolony był. Tam u nas kilku było szkolonych do takiego sprzętu, ale żeby go wypróbować to trzeba było kogoś takiego wziąć..... No ale on był najstarszy stopniem. Czterech musiało to działko nieść. Ono potem poszło pod Osuchy. Nie wiem jakie były jego losy. Granaty u nas były angielskie. Były też niemieckie granaty obronne, takie pałki. Amunicji było pod dostatkiem. Pochodziła ona z boju po wrześniu 1939 roku i ze zrzutów. Amunicja polska, angielska i niemiecka nam się nadawała, ale ruska już nie. Ruska już inna była amunicja.

Było to na początku czerwca 1944 roku. Wtedy był już założony obóz na Brodziakach. Colb był szefem biłgorajskiego gestapo. Wydał go należący do partyzantki jego parobek, furman, który opiekował się jego końmi. Ale Colb go pilnował, jednak któregoś dnia powiedział mu, że nazajutrz jadą raniutko na polowanie. Parobek szybko podał nam o tym informację. „Cord” zrobił zbiórkę i powiedział, że na akcję likwidacji Colba idą ochotnicy. Dużo nas wtedy poszło, około 20 ludzi. Akcją dowodził Józef Witek „Grot”. „Corda” z nami nie było na tej akcji ale pamiętam, że był Franciszek Nizio „Jagoda”. Zasadzkę zrobiliśmy na trasie przejazdu Colba, w lesie koło Zagumnia. Szliśmy na Rapy, Bojary, Gromadę, aż pod Zagumnie gdzie teraz jest młyn. Tam czekaliśmy na niego. Pamiętam, że jakiś gajowy szedł wtedy tą drogą do Biłgoraja i na nas wpadł. Nie chcieliśmy go puścić wolno i zostawiliśmy z takim jednym partyzantem do pilnowania a my poszliśmy dalej. Colb przejeżdżał akurat obok tego miejsca, gdzie przetrzymywany był gajowy, tak że dwadzieścia metrów od niego. Jak zobaczył co się dzieje, to rzucił konie, parobka, psa i w mgłę, w tę pamrę na piechotę uciekał bo to było raniuteńko. Strzelaliśmy do niego ale nie trafiliśmy. Słysząc było, jak uciekając krzyczał „Polnische Bandit !”. Witek nie puścił jednak za nim ludzi. Wtedy właśnie Colb porzucił bryczkę, którą potem „Cord” podarował „Kalinie”. Konie zaś zabrał Zygmunt Hanas „Wilczur”. Kiedy Colb uciekł to w tym czasie Józef Larwa „Tor” ze Smólska i Bogdan Radaj z Biłgoraja poszli ścieżką ponad

lasem. Zauważyli tam dwóch Ukraińców z ochrony Colba, których wcześniej puścił przodem na Zagumnie po jakieś gęsi. Wtedy postanowili zrobić na nich zasadzkę i zaczęli się. Ukraińcy wracając ścieżką i niosąc jakieś masło oraz gęś wpadli na nich. Wtedy Bogdan Radaj ich złapał. Ukraińcy, jak ich zobaczyli to sami zaczęli zrywać z czapek te trupie łby i rzucali je gdzie popadło. Położyli się na ziemię. Larwa nie chciał zabijać Ukraińców, mówił że lepiej ich lepiej na przesłuchanie wziąć bo na śledztwie coś się będzie można od nich więcej dowiedzieć. Radaj był innego zdania i zastrzelił ich z automatu. Pamiętam, że Komendant potem jedynie głową kręcił i krzyczał ale co miał zrobić. O tym zdarzeniu opowiadał mi sam Józef Larwa „Tor”. Ja tego nie widziałem bo my z oddziałem w tym czasie byliśmy z pół kilometra od nich.

Po akcji na Colba, na placówkę w Brodziakach za końmi przyleciał pies tego gestapowca. To był nieduży pies bez ogona, ale taki skurczysyn. Był on żółty w białe platy. Pamiętam, że miał on srebrny łańcuszek. Ten pies podczas pobytu na placówce był smutny. Przy koniach tylko leżał i rozglądał się. Jak ten pies przyszedł to „Gwóźdź” z Biłgoraja gadał: „Ty skur.....u, tyś mnie chciał zagryźć”. „Gwóźdź” wcześniej kręcił postronki dla koni, które sprzedawał Colbowi. Gestapowiec raz kazał mu je przynieść do siebie na gestapo. „Gwóźdź” opowiadał, iż wartownik go wpuścił ale przy drzwiach leżał pies. Był on znany z tego że rzucał się na ludzi. „Gwóźdź” wtedy złapał za klamkę a pies skoczył mu na szyję. „Jeszcze sekundę – gada a byłby mnie zadusił”. Colb zorientował się, że coś jest nie tak i przyszedł. Pies stał łapami na piersiach „Gwóździa” i trzymał go za gardło. Colb się z tego śmiał a potem odgonił psa. „Gwóźdź” dał gestapowcowi te postronki, za które ten mu zapłacił. Dlatego „Gwóźdź” był wściekły na psa. Jeszcze wtedy miał na szyi znaki po spotkaniu z tym psem. Komendant też powtarzał, żeby coś z tym psem zrobić bo biedy naniesie. Jak gdzieś ucieknie to jeszcze Niemców naprowadzi. Bo według „Corda” to był taki mądry, uczony pies i mógł to zrobić. Dlatego kazał go zastrzelić. W końcu „Gwóźdź” zabił go na placówce. Nie pamiętam, jak „Gwóźdź” miał na imię i nazwisko.

Był taki leśniczy Kowalski, który mieszkał w Majdanie u Szmithów. Ten Kowalski chłopom bardzo las ciął, więc chcieli go nastraszyć i wypłoszyć. Do tego dworku Szmithów partyzanci raz jeden wrzucili do pokoju przez okno granaty ale Kowalski w tym czasie siedział w innym pokoju. W wyniku tego zajścia był przestraszony bardzo i przyjechał na Smółsko. Zatrzymał się u Margolów. Później partyzanci go i stąd wypłoszyli, więc przeniósł się do Biłgoraja. Ten leśniczy Kowalski znał się z Frankiem Nizio. Spotkali się gdzieś

i wtedy „Jagoda” dał mu do przeczytania taką gazetkę podziemną. „Jagoda” pilnował go, co zrobi z tą gazetką. A leśniczy poszedł z nią na gestapo, czy na żandarmerię. Więc Franek musiał uciekać do lasu. Jak uciekł to zaczął śledzić leśniczego ale on już nie przyjeżdżał do Smólska. Wszystko w Biłgoraju załatwiał. Gajowi wtedy przychodzili do niego na sesje i z Biłgoraja wszystkim rozporządzał. Leśniczy miał parę takich kasztanów- koni jak „jebu twoju mać”. Jeździł nimi jako furman Stacho Kapka „Orzeł”. Powiedział on „Jagodzie”, że leśniczy wysła koniem kochankę do Smólska. Ależ ona była ładna „jak po cholerze”. Miała może ze 20 lat. Ona wraz z leśniczym mieszkała „u więdźmy” w Biłgoraju. Chodziłem tam do niego gdy byłem robotnikiem leśnym i jak zachorowałem, musiałem mu dostarczyć zaświadczenie o zwolnieniu. Była wtedy zima i Kowalski tę kochankę wysyłał saniami. Franek Nizio chciał jakoś złapać leśniczego. Jak dowiedział się, że ma ta jego kochanka przyjechać na Smólsko, to poszedł w Krasne i zacząłować się na nią za mostem. Wiózł ją wtedy jakiś inny furman, nie Stacho Kapka. Gdy „Jagoda” ją złapał, to zabrał jej kożuch, sanie, konie i puścił tylko w skarpetkach. Pamiętam, że miała takie spodnie kangarowe. Nie wiem czy Franek w końcu policzył się z tym leśniczym. Po wojnie podobnie leśniczy Kowalski mieszkał w Warszawie. Na naszej placówce byli też bracia Franciszka: Szczepan Nizio i Józef Nizio. Szczepan Nizio „Seroka” to idealny człowiek, spokojny, bardzo dobry i mądry. Natomiast Józef to tylko paśł krowy. Szczepan zginął pod Osuchami, zaś Józef został tam schwytany i rozstrzelany 4 lipca 1944 roku na Rapach pod Biłgorajem.

Karą wymierzaną w obozie za jakieś przewinienie było „stanie pod karabinem”. Trzeba było wtedy podczas warty stać na baczność i ani drgnąć. Karabin trzyma się na ramieniu i ani mrugnąć, ani głowę skrócić a komary wtedy gryzą, że o Matko Boska. Te kary były za jakieś wykroczenia. No i te Witkowe „żabki”.

Było to chyba w maju 1944 roku. Pamiętam, że była to noc a noce wtedy są już króciutkie. Akcją dowodził Józef Stegliński „Cord”. Byli również partyzanci od majora Edwarda Markiewicza „Kaliny”. Z naszego oddziału uczestniczyli w niej ochotnicy, w tym również i ja. W sumie w akcji tej brało udział około 50 ludzi. Niemcy nie mieli z nami szans. Ich już było mało a na Różnówce w ogóle ich nie było. Tam byli sami Polacy. Podczas tej akcji nie oddano żadnego wystrzału. Niemcy to dopiero rano zobaczyli, że coś się stało. Nic potem nie słyszałem aby oni w jakiś sposób zareagowali na tę partyzancką akcję. W folwarku Różnówka, za Małpim Gajem mieszkali jak już mówiłem, przeważnie Polacy, którzy obsługiwali Niemców. Podczas akcji

zabraliśmy stamtąd 18 sztuk takich dużych świń. Miały one po 2-3 metry. O Boże, jakie to były sztuki. Trzeba było 7-8 ludzi by włożyć taką swinię na furę. Pamiętam, że był tam taki głupi parobek, który krzyczał, że wszystkie te świny są jego. Musieli mu głębką taką szmatą związać i jego całego też związali bo on taki głupkowaty był. Byliśmy wtedy wraz z ludźmi od „Kaliny”. Stałem w ochronie, gdzieś na wysokości młyna. O tym parobku opowiadali mi potem koledzy. Prosiaków to nawet 10 zabraliśmy w takiej klatce. Te prosięta sprzedawaliśmy potem ludziom. Ze świń zrobiono dobrą taką słoninę „piędziową”. Przygnaliśmy też dwie żywe jałówki. Świnie tłukliśmy na miejscu w Różnówce bo jakby w drodze kwiczały to byłoby strasznie głośno. A te świny żeby nie kwiczały to zabija się tak, że bierze się łańcuch, kija i kręci pod gardło, kręci..., kręci... i wtedy nożempuch! Tam było zabijane wszystko po kolei, nie było czasu, tam pierunem wszystko szło. Później wszystko zostało w beczkach nasolone. Wiem, że potem jeździli na Brodziaki po te beczki i solili to. Następnie słoninę i mięso zakopywali w beczkach w ziemi. Pamiętam, że ciąłiśmy takie straszne pokrzywy a było ich od pioruna i kładli je w miejsca zakopywania mięsa i słoniny, żeby mucha się do nich nie dostała. Nic się nie zepsuło. Ale jedzenia było na masę. Zboża nie było na Różnówce więc go nie zabieraliśmy. Po zboże to jeździli do konfidentów po wioskach. Przecież tyłu chłopów nas było i trzeba było jakoś żyć. Chleb zawsze był. Piekli nam go na Brodziakach. Był to taki razowy, ciemny chleb. Zboże mielili we młynie, przeważnie w Puszczy a z tych świń to i smalcu natopili. Taki gorszy smalec był na smarowanie butów, jeśli ktoś chciał. Pamiętam, że przychodziłem buty smarować tym smalcem a do tej bańki gdzieś niedawno nalane było smalcu. Ja nie patrzyłem czy był on gorący, czy ciepły. Nie był w każdym razie zastygnięty. Wziąłem ten smalec i przypadkiem wylałem. Co ja miałem później strachu. Potem zbiórkę z tego powodu zrobili. To dobrze, że nikt tego nie widział. Nic by mi nie zrobili ale dali by mi później „wcisk”. A to „pod karabinem” bym stał godzinę albo dwie za to, żem wylał.

Pamiętam, że na wiosnę między lutym a kwietniem 1944 roku uciekło z niemieckiego wojska sześciu Ukraińców. Prawdopodobnie uciekli oni ze Zwierzynca. Dwóch było z Rakówki, dwóch z Łucka a skąd byli pozostali dwaj, to nie wiem. Nie mieli broni, tylko granaty. Najpierw przyszli na Smółsko Małe ale ludzie się ich bali. Potem przyszli na Smółsko Duże, gdzie zatrzymali się u kuzyna jednego z nich tj. u Piotra Kozaka. Tam dostali jedzenie i poszli spać do obory. Wtedy chłopcy ze Smółska zleciały się z bronią, obstawili chliw, gdzie oni spali i krzyczą: „Szwaby wylazić!”. Jak już czterech wylazło z tego chliwa to postawili ich w rzędek i obrabowali ze wszystkiego,

w tym zabrali im płaszcze. Dwóch schowało się za krowami w chliwie ale i tam ich znaleźli. Ludzie zaczęli bić tych Ukraińców. Wtedy Jan Micyk „Liść” zakazał bicia i kazał zwrócić płaszcze. Micyk wówczas sam poszedł na placówkę do „Groma” na Trzepietniak koło Józefowa i zameldował mu o tym zdarzeniu. „Grom” wysłał wartowników po tych Ukraińców, którzy zagnali ich do obozu. Tam nie wystrzelali ich tylko przyjęli do oddziału. Przy tym powiedziano im, że jeśli jeden spróbuje uciec to zabiją pozostałych. Dwóch z nich zginęło w akcji na pociąg w Suścu, dwóch uciekło.

W maju 1944 roku jeszcze przed bitwą pod Osuchami miała miejsce akcja na transport wódki na szosie Biłgoraj- Zwierzyniec. Nie brałem udziału w tej akcji bo nie byłem w lesie. Komendant zwolnił mnie wtedy na dwa dni do domu. Uczestniczył w niej Stacho Kapka „Orzeł” i mi o tym opowiadał. Wiem, że tam wtedy był do pomocy chyba oddział sztabowy Adama Haniewicza „Woyny”, który był przy majorze „Kalinie”. Był tam cały samochód tej wódki. Jak już wracali do lasu, to przyleciały trzy samoloty niemieckie z Zamościa i całą jedną furę tej wódki wytlukły z ckm – u. Stach opowiadał mi, że Komendant kazał luzem puścić konie i krzyczał, żeby uciekać od nich, żeby nie dać się zabić. Samochód, jakim wiezioną była wódka jakoś spalili .

W walkach toczonych na Porytowym Wzgórzu w lasach janowskich przy Niemcach brał udział oddział Kałmyków. Jeden z Kałmyków zdezerterował do ruskiej partyzantki. Jak Niemcy ich gnali stamtąd, to ten Kałmyk razem z ruskim oficerem szły razem, a potem, już po przebicciu rozłączyli się. Kałmyk szukał partyzantów i trafił do mojego wujka Pawła Iwanickiego na Smólsko. Był ubrany w niemiecki mundur i był bardzo głodny. Wujek dał mu chleb, pół bułki i Kałmyk poszedł dalej. Potem trafił chyba do Dziwury na Brodziaki. Gdy był w jego mieszkaniu, przyszło dwóch młodych chłopaków. Kałmyk zaczął ich wypytywać a potem nie chciał wypuścić z mieszkania ani ich, ani znajdujących się tam kobiet. Wtedy wpadł z pistoletem Stacho Paluch, który należał do oddziału „Corda” ale Kałmyk rzucił się na niego i zabrał mu tę broń. Potem zaczął opowiadać, że jest partyzantem. Chłopy podczas tej opowieści zaczęły palić papierosy i Kałmyk też chciał zapalić. Korzystając z nieuwagi, chłopcy capnęły go. Tak mocno ścisnął w rękach karabin, że dopiero jak mu je drewnem we trzech objali to wypuścił. Potem przywieźli go na placówkę „Corda”. Tam go nakarmili. Wieczorem przywieźli do nas furmanką na placówkę kulawego ruskiego oficera, który właśnie się z tym Kałmykiem przebijał. Nie wiem dlaczego on się u nas znalazł, może szukał swojego oddziału. Jak się nawzajem zobaczyli to Kałmyk z radości tak płakał aż się las kołysał. Więc ten ruski poszedł do Komendanta i zagwarantował za niego, że

uciekł od Niemców i walczył razem z ruską partyzantką. Komendant kazał uwolnić Kałmyka. Potem coś z nim rozmawiał i oddał mu karabin. Jeszcze w obozie go nakarmili i wypuścili.

Przed koncentracją w czerwcu 1944 roku „Cord” powiedział nam, że kto chce, może odejść do domu i nie iść na koncentrację. Warunkiem oddalenia się z obozu było tylko zdanie broni. Pamiętam, że przed samą koncentracją, już po walkach na Porytowym Wzgórzu, rankiem przyjechał na placówkę major „Kalina” Edward Markiewicz. Ubrany był po wojskowemu, w rogatywce, stopień majora. Był z nim Zygmunt Hanas „Wilczur”. Mówili o nim, że to adiutant „Kaliny”. Major przywiózł nam buty i broń. Paru z nas dostały się te buty. Ja ich nie dostałem. Wtedy właśnie komendant podarował majorowi tę bryczkę Colbową wraz z końmi. Major „Kalina” przemawiał do nas i zgrzewał do walki. Pamiętam jak obiecał, że po wygranej umunduruje nas. Nie powiedział wtedy, jak wielka siła niemiecka na nas idzie. Byliśmy tego nieświadomi. Major „Kalina” mówił, że musimy zwyciężyć wroga. Dodawał nam odwagi mówiąc żeby się nie bać, że trzeba Niemców pokonać. Przypominał, jak okupant palił nasze wioski. W tym samym czasie palił się Lipowiec, gdyż trzy niemieckie samoloty były w ruską partyzantkę stacjonującą w tej wsi po walkach na Porytowym Wzgórzu. Od tego zapalił się Lipowiec. Wieczorem major „Kalina” odjechał. Pamiętam, że komendant się śmiał, żeby mu tego Colbowego psa jeszcze dać. Przed koncentracją trzeba było zostawić w domu dokumenty. Okoliczne wsie były powiadomione, że jeśli ktoś chce walczyć w partyzantce, to nie może mieć przy sobie żadnych dokumentów. Chodziło o to aby w razie złapania przez Niemców, nie można było zidentyfikować takiego partyzanta i żeby jego rodzina była bezpieczna. Wiem jednak, że Piotr Niemiec z oddziału „Corda” wraz z jakimś innym partyzantem, ale nie pamiętam z kim (obaj z Majdanu), po walce pod Margolami zostali złapani przez Niemców i tylko dlatego, że obydwoj mieli jakieś dokumenty, nie zabito ich a wysłano na Majdanek. Dzięki tym dokumentom przeżyli.

Byłem w plutonie Tadeusza Piotrowskiego „Pazura”. Pluton ten składał się z trzech drużyn, którymi dowodzili Wacław Kuliński, Stanisław Kapka i Franciszek Mróz. Byłem amunicyjnym przy rkm Józefa Larwy „Tora”. Drugim amunicyjnym był Stanisław Skubis z Wolanin bo do każdego rkm potrzebnych było dwóch amunicyjnych. My podawaliśmy i nosiliśmy amunicję, magazynki. Rkm miały magazynki na 20 nabojęw. W czerwcu 1944 roku, gdy oddział „Corda” udawał się na koncentrację, nasz pluton składający się z przeszło 40 partyzantów, został skierowany do opóźniania

marszu Niemców w las. Zajęliśmy stanowiska obronne w jeżynach pod lasem niedaleko gajówki pod Brodziakami. Widzimy, że Niemcy idą. Byli to Kałmyki i mieli zakasane rękawy. Widzieliśmy te ich gołe ręce, chyba po to, żeby znaczniejsze byli. Na nas pieszo szło siedmiu Niemców. Zobaczyli nas dopiero gdy podeszli na około 50 metrów od nas. Wtedy pokładli się na pastwisku i wszyscy odrzucili karabiny od siebie. Oznaczało to, że „one bezbronne są”. Tę relację mógłby też potwierdzić Kuliński Wacław. Chłopaki z Biłgoraja krzyczeli „Bić, zabić ich!” ale partyzanci z Brodziaków bali się, że Niemcy w odwecie wymordują mieszkańców Brodziaków i nie strzelaliśmy tylko wycofaliśmy się na taką górkę w lesie w kierunku na Starzyznę. Widzieliśmy już zresztą, że z 50 Niemców robiło koło kapliczki tyralierę. Nieopodal Brodziaków przepływają dwie rzeki. Tam zostawiliśmy jako czujki Andrzeja Rataja, który był przedwojennym kapralem i Romana Iwańczyka. Oni opowiadali potem, jak Niemiec patrolujący i obserwujący teren skoczył na Rataja i obydwa połapały się na bagnety. Iwańczyk stał z boku jakieś 5 metry dalej i nic nie zrobił, sparaliżował go strach. Obydwa odskoczyli od siebie. Potem słyszałem, jak Rataj mówił do Iwańczyka : „Ty cholero!, Toś się patrzył aż mnie zabije?” , a Larwa mu na to: „No jak by on Ciebie zabił, to byłem go i ja wtedy zabił”.

Jak uciekliśmy na tę górkę w lesie, w kierunku na Starzyznę to zajęliśmy stanowiska obronne. Wiedzieliśmy, że z góry łatwo będzie wyczesać Niemców bo oni byli na dole. Tam się okopaliśmy ale za trzy godziny przyjechał rowerem jako goniec od „Corda” Stanisław Paluch zamieszkały w Brodziakach, z rozkazem wycofania się. Więc wycofywaliśmy się idąc przez Czarną Ładę i znów Stanisław Paluch nadjechał z rozkazem, żeby przejść przez łąki i czesać Niemców. Zaraz potem przybył znowu Stach Paluch z innym rozkazem, żeby iść pod Smólsko i zaobserwować co się dzieje we wsi. Tam poszliśmy w las Kałatkę.

Stamtąd wysłaliśmy dwóch zwiadowców do Brodziaków i dwóch na Smólsko. Oni mieli powiedziane, żeby nie wchodzić do samej wsi tylko z przedpola zaobserwować sytuację. Pamiętam, jak Tadeusz Piotrowski „Pazur” ich ostrzegał, żeby nie wchodzili do wsi bo Niemcy się maskują. Do Smólska wysłano jako zwiadowców: Jana Larwę pseudonimu nie pamiętam i Franciszka Dziducha „Śmiecha”. Larwa miał lat 25, a Dziduch 23. Mieli wrócić za półtorej godziny. Niemcy zamontowali na stodole Kukielków rkm, zrobili pomost, przyczółki. Natomiast nasi partyzanci poszli pod samą linię Niemców i ich nie zauważyli. Niemcy wówczas otworzyli ogień. Franciszek Dziduch dostał w łopatkę, gdzieś z 5 metrów od stanowiska Niemców.

Potem stawiali go rannego na nogi i na polu kolbami go dobijali. Drugi to może z 300 metrów uciekał, tak za nim bili ale też dostał. Nawet na koniu za nim gnali. Słychać było straszne strzały. My czekaliśmy w lesie Kałatka i się zorientowaliśmy, że oni wpadli. Wiem, że oni zginęli na miejscu.

Dwóch zwiadowców wysłaliśmy na Brodziaki. Był to Franciszek Róg i Józef Brodziak. Oni już nie wrócili, poszli do schronu i tam przeczekali akcję. Nie dali nam w ogóle znać.

My poszliśmy do lasu Smolnik, który mieści się za łąkami pod Starzyzną. Szliśmy przez łąki do lasu a w tym czasie Niemcy zajęli naszą „Cordową” placówkę na łąkach. Niemcy widzieli nas wtedy ale nie strzelali. Krzyczeli tylko „Halt !”. Byliśmy od siebie w odległości około pół kilometra. W tym czasie słyszeliśmy odgłosy walki reszty oddziału „Corda” na Margolach. Wiedzieliśmy, że „Cord” miał się tam udać i my mieliśmy tam dołączyć. Zaistniała taka sytuacja, że Niemcy odgradzili nas od niego. Tadeusz Piotrowski „Pazur” bał się, że wbrew rozkazom nie dotarliśmy do naszego oddziału. Na oddział „Corda” była wtedy zasadzka w Margolach pod Aleksandrowem. Wiem, że tam został ranny w rękę Jan Buczek „Wrzos” ze Smółska a zginął jedynie koń z oddziału.

Sytuacja mojego plutonu przedstawiała się tak, że byliśmy między jednymi a drugimi Niemcami, bez możliwości dotarcia do reszty oddziału. Byliśmy nad samymi łąkami. Wiedzieliśmy, że Niemcy przyjdą tu nocować. Każdy z nas chował się wtedy gdzie mógł, w jakieś jeżyny, wykroty. Na drzewa nie włączaliśmy. Niemcy o zmroku nie szli już tyralierą tylko osobno, ścieżkami. Pamiętam, że wtedy strasznie lał deszcz. Oni nas nie szukali. Byli zmęczeni po długim marszu. Pamiętam, że byli ubrani w takie pałatki. Wiedzieli, że już aby tylko dojść do łąk i mają tam nocleg. Schowałem się wraz ze Stanisławem Skubisem z Wolanin pod drzewem- świerkiem. Wokół niego rosły jeżyny. Skakaliśmy w te jeżyny, żeby nie było widocznej ścieżki. Niemcy oblegli nas w koło. Gadali coś, stanęli obok nas, palili papierosy i poszli sobie. Ze dwie godziny jeszcze siedzieliśmy w tych krzakach. Potem dawaliśmy sobie sygnały gwizdami. Ze trzydziestu ludzi nas tam było. Następnie wstaliśmy i Roman Brodziak wyprowadził nas po cichutku na tyły Niemców. Prawie byliśmy bezpieczni. Na drugi dzień słyszeliśmy w lesie strzały ale my byliśmy już poza pierścieniem. Byliśmy bardzo głodni. Wiedzieliśmy, że cały samochód wódki skonfiskowanej Niemcom jest akopany w skrzynkach, w dołach z 200 metrów od placówki „Corda”. Jeść nie było co ale pomyśleliśmy, że skrzynkę wódki to weźmiemy. Stanisław Kapka, Franciszek Mróz i Jan Micyk poszli po nią i przynieśli. Każdy był głodniutki jak wilk i tej wódki każdy dostał

w szklance „po fartuszek”. Efektem tego było to, że każdy był taki pijaniutki. I tak się skończyło dla nas.

Pod Osuchami bardzo dużo ludzi zginęło. Walczył tam też Józef Michałowski „Warszawiak”. Kazimierz Sołtys z oddziału „Corda” który się przebił, opowiadał mi potem, że prawie co drugi z tych partyzantów zginął. Jak ich z oddziału przedzierało się około 100, to może 40 przeżyło ale przebili się. Kazimierz Sołtys mówił mi, że sam słyszał, jak Komendant „Cord” powiedział przed atakiem rannym, a było ich wielu, że jeżeli się przebiją, to wróci po nich i ich przeprowadzi przez pierścień. I tak zrobił. Gdy się przebili, wszyscy poszli dalej a on wrócił aby przeprowadzić tych rannych. Nie wiem, czy do nich dotarł ale drugi raz się już nie przebił. Wtedy go Niemcy zabili. Nie wiem czy ktoś z tych rannych przeżył. Wacław Kuliski mówił mi, że ciało „Corda” było pokłute bagnietami a zginął od kuli w głowę. Kazimierz Sołtys mówił mi jeszcze, że będąc w kotle jedli końskie mięso. Palili ogniska i je piekli. Był straszny głód i zmęczenie. Gdy toczyli bój pod Margolami, Komendant wydał rozkaz aby zająć Niemców od tyłu. Tym manewrem dowodził Józef Witek „Grot”. Nie przyniosło to efektów gdyż Niemcy w tym czasie wycofali się do Aleksandrowa. Z opowieści Kazimierza Sołtysa jeszcze wiem, że gdy przechodził przez okrażenie, ciągnął ze sobą rannego w nogę. Niośł go trochę na plecach, trochę tak ciągnął. Przeniósł go przez pierścień ale nie miał przez to nawet czasu strzelać.

Po bitwie już w lipcu 1944 roku byłem pod Osuchami i widziałem ciała poległych. Pamiętam, że w jednym miejscu 13 trupów znaleźliśmy. Dużo było miejsc gdzie widać było, że ktoś bronił się do ostatka. Widziałem drzewa, które były ścięte od pocisków, łusek po amunicji było w huk. Ludzi poznawaliśmy tylko po ubraniach. Widziałem jednego nieboszczyka, który miał brzytwą podcięte gardło. Nie miał śladu po ranie postrzałowej. Miał on angielski mundur i wszystko inne ze zrzutu. Ze Smółska oprócz Jana Larwy i Franciszka Dziducha „Śmiecha” z plutonu „Pazura” zginęli także Józef Kapuśniak, Bronisław Maciocha i Solak Stanisław. Oni ukryli się na drzewach i tam ich zastrzelono a ciała pospadały potem na ziemię. Wszyscy oni są pochowani na cmentarzu w Majdanie. Dużo ciał było już zakopanych ale wiele leżało na wierzchu.

Po tym, jak udało nam się przejść przez okrażenie, Roman Brodziak wyprowadził nas na Brodziaki. Wszyscy poszli w swoją stronę. Ja poszedłem do siebie na Smółsko. Ojciec się cieszył, że w ogóle przeżyłem ale wszędzie jeździli Niemcy, strach był wielki. Zaraz po jednym czy dwóch dniach znów poszedłem do lasu. Założyliśmy obóz na Łukasikowej Szyi. Wtedy jeszcze

trwały walki pod Osuchami. Było nas tam około 30 osób. Dowództwo objął Jan Micyk „Liść”. Tadeusza Piotrowskiego „Pazura” więcej nie widziałem. Tam mieliśmy żywność, kotły i tam przetrwaliśmy. Doszli też chłopcy z Brodziaków, Małego Smólska, Aleksandrowa, trochę od Wira i Wara. Generalnie ci, co nie mogli pójść do domu. Jan Micyk orientował się gdzie stoi jaka placówka. Pamiętam, że dobrał se dwóch partyzantów i poszli na wywiad. Na Kałatkowej drodze spotkali furmankę i czterech Niemców konno, którzy ściągali druty telefoniczne bo wiedzieli już, że będą się wycofywać. Przylecieli zaraz do nas i pytają, „Co robić?” bo można było tych Niemców wziąć. Nie ruszaliśmy ich bo się baliśmy, że się zdradzimy. To było, jak jeszcze pod Osuchami walka trwała.

(opr. E. Nizio, M. Działo)

Kurierka Komendy Obwodu Biłgoraj



Maria Kazimiera Piasecka „Żar” Mużaczowa urodziła się w 1922 roku w miejscowości Ostrowy powiat Częstochowa. Jej ojciec Kazimierz miał skład apteczny w Pruszkowie.

Był zapalonym cyklistą, uczestniczył nawet w rajdzie rowerowym do Wilna. Matka Maria z Gilrutów zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci tj. Marii i młodszej od niej o cztery lata Jadwigi. Do szkoły podstawowej Maria uczęszczała w Pruszkowie. Jej siostra Jadwiga była słabym dzieckiem chorującym na płuca i to stało się powodem wyjazdu rodziny do Płudów, gdyż tam było lepsze powietrze. Ojciec zmarł nagle w wieku pięćdziesięciu paru lat. Pani Piasecka została sama z dwiema córkami na wychowaniu. Utrzymywała się z emerytury po mężu w wysokości 365 złotych, której starczało na skromne życie. Ze względu na trudności finansowe starsza córka Maria została wysłana do rodziny w Suchedniowie pod Kielcami. W Kielcach uczęszczała do gimnazjum i tu zrobiła małą maturę. Utrzymywały ją ciotki i opłacały chesne za gimnazjum. Na dalszą edukację ciotki wysłały Marię do prywatnej, przyklasztornej szkoły pod Radomiem, prowadzonej przez siostry zakonne, gdyż same nie umiały poradzić sobie z żywiołową podopieczną. Tam chodziła tylko jeden semestr. Siostry zadzwoniły i powiedziały, że one bardzo dziękują ale również nie są w stanie zapanować nad tak niezależną dziewczynką i proszą żeby ją zabrać.

W momencie wybuchu wojny Maria była na rok przed maturą. Ostatnią klasę kończyła już po wojnie. Pierwsze dni wojny zastały ją w Suchedniowie i tu wraz z kuzynami i grupą młodzieży próbowali się jakoś zorganizować. Ze względów materialnych spowodowanych wojną przez rok czasu pracowała jako guwernantka w Sękocinie koło Warszawy u nadleśniczego. Uczyla i sprawowała opiekę nad niepełnosprawną dziewczynką. W tym domu było dość bogato i nigdy nie brakowało jedzenia.

Następnie trafiła do kolejnej ciotki, tym razem do Krakowa. Podjęła pracę w gabinecie stomatologicznym jako pomoc dentystryczna. Jej wuj działał w podziemiu i w wyniku wpadki został aresztowany przez gestapo. Wraz z nim aresztowano również ciotkę i Marię. Wujka rozstrzelano a one przesiedziały kilkanaście tygodni w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Na początku wojny Niemcy nie byli jeszcze tak rygorystyczni. Po przeprowadzonym postępowaniu karnym, w wyniku którego ciotce i Marii nic nie udowodniono, wypuszczono je na wolność. W tej sytuacji Maria wraz siostrą ponownie udała się do Suchedniowa a następnie do innej ciotki do Warszawy. Tam spotkała Gajewskiego, który ściągnął ją do Józefowa koło Biłgoraja i nakłonił do podjęcia roli kurierki Obwodu AK Biłgoraj. Jej zadaniem było przewożenie m. in. konspiracyjnej prasy z Komendy Głównej w Warszawie dla całego Inspektoratu Zamojskiego. Najpierw punkt kontaktowy był w Józefowie, później jak „Wir” był w szpitalu przeniósł się do Brzezin do „Selima” i tu prasa była rozdzielana na cztery powiaty tj. Hrubieszów, Zamość, Tomaszów i Biłgoraj. Do Brzezin przyjeżdżali gońcy i zabierali prasę dla poszczególnych powiatów. Maria Piasecka „Żar” niejednokrotnie zastępowała „Selima” w jego obowiązkach służbowych, gdy ten był chwilowo nieobecny. Niezależnie od tego była komendantką WSK.

Z brawurą przewoziła całe worki konspiracyjnej prasy a czasami również broń krótką. W niedzielę 28 listopada, jak wiele razy wcześniej wsiadła w Warszawie do pociągu pośpiesznego Warszawa – Lwów. Z relacji Komendanta Obwodu Biłgoraj Józefa Gniewkowskiego „Orszy” wynika, że *„Wyjątkowo cenny materiał zawierający masę egzemplarzy dużej wartości, a nawet okazy londyńskie, miała Żar przywieźć na poniedziałek”*. Na próżno także przez dwa dni oczekiwał jej powrotu na stacji kolejowej Czesław Mużacz „Selim”, który zgodnie z wcześniejszą umową miał ubezpieczać kurierkę i prasę na wypadek zagrożenia. W swoich wspomnieniach pisze *„Przez zalane deszczem szyby spostrzegam rowerzystę, który z trudem jedzie po błocie. Poznaje Halnego (Eugeniusz Jaworski), gońca obwodu. Wchodzi cały zachlapany błotem. Jest jakiś poważny. Píše Orsza: Żar wpadła w niedzielę w Puławach. Zawiadomić Zwierzyniec. Liczyć się z możliwością aresztowań. Halny opowiada szczegóły jej wpadki, której świadkiem była pewna kobieta z Biłgoraja. Opowiadanie jej doszło do naszego wywiadu”*.

Tymczasem „Żar” przewieziono do Lublina gdzie poddano ją brutalnemu przesłuchaniu. Zeznawała tak rezolutnie, iż przekonała gestapowców o konieczności wysłania jej do Biłgoraja. Gestapowcy chwycili przynętę i rzeczywiście przewieziono ją najpierw do Zamościa a następnie do

Biłgoraja. Pierwszą noc spędziła na posterunku granatowej policji. W dzień zaprowadzono ją do budynku gestapo i rozpoczęło się przesłuchanie. Wieczorem pod eskortą dwóch Ukraińców została przeniesiona do więzienia. W obawie przed dalszymi przesłuchaniami poprosiła nastawioną przyjaźnie do niej synową naczelnika więzienia o dostarczenie trucizny. Na szczęście okazała się zbędna gdyż 20 grudnia w brawurowej akcji na więzienie, przeprowadzonej przez grupę najwierniejszych kolegów z organizacji została wraz z innymi więźniami uwolniona. Mimo gwałtownych protestów z jej strony, że chce widzieć przebieg akcji do końca, „Selim” kategorycznie tego zabronił i pod eskortą niezwłocznie odesłał w stronę pobliskiego lasu. Tak zachowała w pamięci to wydarzenie „Żar” *„Wychodzimy za bramę i dalej ulicą, byle do lasu! Mijają nas Niemcy, mijają Ukraińcy. Fredek błądzi z emocji ściska P.M. i moją rękę. Wtem słyszymy z tyłu za sobą jakiś wielki tupot. Oglądamy się. To biegą szczęśliwi więźniowie. Byle do lasu! Za chwilę jesteśmy w tym królestwie ludzi podziemnych. Podchodzi do nas „Orsza” i „Wyżeł”..... Idziemy już wolno. Dogania nas „Selim”, „Grom”, „Desant” i „Czarny”, którzy już skończyli akcję. „Selim” podbiega do mnie. – Nie przywitasz się ze mną, Żar? Nieprzytomna podaję mu rękę. Śnieg osypuje nas wielkimi płatami. Broń wydzwania melodię partyzancką. Gwiazdne smugi światła wskazują nam drogę. „Bandziory” z dwóch stron trzymają mnie mocno jako swój tup...Nie myślę o niczym. Piję wolność”. Przykre doświadczenie nie położyło kresu działalności konspiracyjnej „Żar”. Brała udział w różnych akcjach i walkach partyzanckich.*

W dniu 12 kwietnia 1944 roku uczestniczyła w akcji rozbicia kolejki wąskotorowej w pobliżu Tereszpola, która służyła okupantowi do wywożenia kontyngentów. „Selim” poprowadził tam drużynę z Kursu Młodszych Dowódców Piechoty, gdzie pełnił rolę instruktora. W jej wyniku zdobyto kilka ton zboża dla potrzeb oddziałów leśnych. Większość jednak rozdano okolicznym chłopom. Udziałem „Żar” w akcji było przeprowadzenie rozpoznania za pośrednictwem WSK i wyłapanie jadących pociągiem szpicli niemieckich. „Żar” tak pisała o tym w swoich wspomnieniach. *„W towarzystwie żołnierzy, z parabellum w dłoni, legitymuję rzucających się w oczy mężczyzn. Dopiero teraz rozglądam się dokładnie wśród pasażerów. Na twarzach kobiet jeszcze maluje się przerażenie.....podchodzę do jakiegoś młodego jegomościa w eleganckim futrze. Właśnie to futro i jego niespokojne oczy zwróciły moją uwagę.....Przeszłam kilka kroków dalej i znów rzucił mi się w oczy jakiś młody mężczyzna, który starał się nieznacznie oddalić od grupy pasażerów”.*

Na okres okupacji przypada bardzo ważne wydarzenie w życiu „Żar”, mianowicie została żoną Czesława Mużacza „Selima”. Ślub odbył się 10 czerwca 1944 roku w Aleksandrowie.

Sakramentu małżeństwa udzielił związany z podziemiem ksiądz Jan Świś. W niedługim czasie znalazła się wraz z mężem w okrażeniu podczas niemieckiej akcji przeciwpartyzanckiej „Wicher I”, z którego szczęśliwie udało im się przebić z oddziałem „Wira”. Po wkroczeniu na te tereny Sowietów, w obawie przed aresztowaniem musieli się ukrywać. Schronienie znaleźli we wsi Górniki i już mieli wyjeżdżać do Radecznicy, gdy wytropiło ich UB. „Selima” aresztowali a „Żar” udało się przeskoczyć przez płot i schować u życzliwych mieszkańców wioski. Po aresztowaniu i zesłaniu do Riazania „Selima” przystała do oddziału leśnego „Wira”.

Podczas spotkania na Wielkanocnym śniadaniu w Górnikach została aresztowana wraz z Janiną Rogulską „Niną” i uwięziona w znanym jej już więzieniu w Biłgoraju. Tam symulowała chorobę i przewieziono ją do miejscowego szpitala pod opiekę członka AK doktora Stanisława Pojaska. Wkrótce uciekła ze szpitala i przedostała się do Margoli, a stamtąd ponownie do oddziału „Wira”. Następnie wyjechała do Suchedniowa. Dla bezpieczeństwa powróciła do panińskiego nazwiska i podjęła studia polonistyczne w Lublinie. Mąż wrócił z Rosji i odnalazł ją w Suchedniowie dzięki doktorowi Klukowskiemu, z którym była w stałym kontakcie. W niedługim czasie urodził im się syn, później córka i na studia nie było już warunków. Osiedlili się w Rembertowie, gdzie mąż znalazł pracę. Zajęta prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci nie podjęła pracy zawodowej ale angażowała się aktywnie w działalność na rzecz szkoły będąc członkiem komitetu rodzicielskiego. Ich dom był pełną życzliwości, ciepła przystanią dla dawnej braci partyzanckiej. Maria Piasecka „Żar” zmarła w wieku 82 lat w 2004 roku, pochowana na Powązkach w Warszawie.



Dwuletnia Maria z mamą w 1924 r.



Zdjęcie szkolne. Pierwsza od lewej Maria Piasecka.
Kielce 1937 lub 1938 rok.



Ślub „Żar” i „Selima” w kościele
w Aleksandrowie.



Państwo Mużaczowie
ze swoimi dziećmi



„Nina” i „Żar” podczas uroczystości w Osuchach
w latach 50- tych w czasie tzw. odwilży

„Magik” z oddziału „Wira”



Sierż. Czesław Skrzyński ps. „Magik” urodził się 16 lipca 1913 r. w Klemensowie koło Zwierzyńca (ówczesny powiat Zamość) jako jedno z dzieci Jana Skrzyńskiego gajowego Ordynacji Zamoyskich i Franciszki z domu Surma. Skrzyńscy pochodzili ze zubożałej po kolejnych powstaniach szlachty, a właściwie w owych czasach już włościan, wywodzących swe korzenie z rodu herbu Zaremba. Według odnalezionych w Krasnobrodzkim Sanktuarium metryk, przodkowie Czeška jeszcze przed powstaniem listopadowym mieszkali w Suchowoli. W latach dwudziestych XX w. rodzina Skrzyńskich zajmuje służbową gajówkę na tzw. „Rybakówce” w Zwierzyńcu nieopodal stawów „Echo”. Na przełomie lat 20 i 30 Zwierzyńiec był piękną, zadbaną miejscowością z chodnikami, ogrodami i zbiornikami wodnymi – nazywany często „osadą ogrodem” gdzie dominowała przyroda a napływ urzędników ordynackich powodował jego dalszą, intensywną rozbudowę. „To miasto bez proletariatu, to wieś bez kmieci” – pisał o Zwierzyńcu w 1927 roku Wacław Świątkowski. Większość zamieszkujących ładne i obszerne parterowe domy i dworki to ludzie o wysokiej kulturze i inteligencji, pełniący w Ordynacji wyższe i niższe funkcje urzędnicze. Służba leśna stanowiła w Zwierzyńcu liczną grupę mieszkańców. Nad gospodarką „ujazdów” czuwali leśniczowie, podlegli im podleśni (zastępcy leśniczych), nadgajowi i liczni gajowi. Młody Czesiek miał spore ale typowe na tamte czasy rodzeństwo; najstarsza siostra Agnieszka „Jagunia” (ur. 1906 r.), starsza Genowefa „Gienia” (ur. w 1910 r.), młodszy brat Stanisław (ur. w 1916 r.) oraz dwie młodsze siostry; Maria (ur. około 1919 r.) oraz najmłodsza Stasia (ur. w 1922 r.). Rodzinne szczęście nie trwa jednak zbyt długo. Pod koniec 1927 r., w wieku niespełna 50 lat, niespodziewanie umiera ojciec rodziny gajowy Jan Skrzyński. Po jego śmierci nastały dla wielodzietnej rodziny ciężkie czasy. Głód często zaglądał im w oczy, w związku z czym 17 letnia Gienia i 13 letni Czesiek musieli szukać pracy. Pomimo ukończeniu siedmioklasowej szkoły powszechnej, Czesiek

zmuszony jest podjąć pracę jako robotnik leśny. Dopiero nieco później udaje mu się dostać pracę w zwierzyńskim tartaku. Tam też najprawdopodobniej dostrzeżono jego smykałkę do mechaniki. Jako uzdolniony samouk, podejmuje więc pracę w garażach Ordynacji Zamoyskich w Zwierzyńcu gdzie do wybuchu wojny i mobilizacji naprawia ordynackie samochody i maszyny. Po kilku latach podobne zajęcie znajdzie tam jego brat Stanisław. Nabyte tu umiejętności i doświadczenie jeszcze wielokrotnie będą mu się przydawały w życiu. Według wspomnień rodzeństwa Czesław był bardzo inteligentnym i utalentowanym człowiekiem. Cechowało go racjonalne myślenie oraz duża rzetelność z jaką wykonywał swój zawód. Pociągało go wszystko co wiązało się z mechaniką. Pomimo, że był samoukiem, naprawienie nawet bardzo skomplikowanych urządzeń nie stanowiło dla niego większego problemu. Dzięki wrodzonej inteligencji i błyskotliwości potrafił rozwiązać niemal każdy problem i dostosować się do każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji. W marcu 1935 roku Czesław Skrzyński rozpoczyna zasadniczą służbę wojskową w 9 Pułku Piechoty Legionów w Zamościu gdzie w drugim batalionie, drugiej kompani karabinów maszynowych (ckm-ów) pełni funkcję celowniczego-strzelca. W tym samym roku awansuje na stopień st. strzelca. Przed odejściem do rezerwy pełni funkcję kompanijnego rusznikarza. Po powrocie z wojska przenosi się do miejscowości Długi Kąt gdzie znajduje zatrudnienie w tamtejszym tartaku. W czasie wizyty u siostry w Klemensowie poznaje, a następnie w czerwcu 1938 roku, poślubia 16 letnią Eugenię Kot.

W pierwszych dniach września 1939 roku, 26 letni kapral Czesław Skrzyński zostaje zmobilizowany ale z powodów ogólnego zamieszania jak też problemów transportowych, jego batalion pod dowództwem mjr Stefan Kiełczewskiego i d-cy drugiej kompani - kpt. Edmunda Sitka, (późniejszego szefa placówki kontrwywiadu AK), nie bierze udziału w walkach 9 Pułk Piechoty Legionów a w zamian zostaje włączony do formowanej po 6 września 39 Dywizji Piechoty Legionów - Rezerwowej (39 DPL-R), pod dowództwem gen. bryg Brunona Olbrychta. Wspomniana część 9 PP Legionów weszła w skład 39 DPL-R jako III batalion 94 Pułku Piechoty Rezerwowego. Oddziały dywizji, wg. rozkazu Naczelnego Wodza, miały wzmocnić odcinek osłonowy Armii „Lublin”. Dowództwo dywizji zostało utworzone z personelu wojskowego Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie, a od 8 września podlegało bezpośrednio d-cy Armii „Lublin” - gen. Piskorowi (z powodu jego choroby faktycznie dowodził płk Bronisław Duch). Po nieudanej próbie powstrzymania Niemców na linii Wisły od

Dęblina do Kazimierza, wraz z przesuwającą się w kierunku na Węgry 39 DP-Rez, Czesław Skrzyński przemaszerował przez południową Lubelszczyznę aby po udanym ataku 22 września na niemieckie oddziały w rejonie lasów Majdanu Ruszkowskiego i Majdanu Krynickiego zetknąć się ze szpicami zbliżających się od wschodu oddziałów Armii Czerwonej. Po kolejnym udanym ataku na Niemców i opanowaniu Krasnobrodu, jej kolejne posunięcia zostały powstrzymane przez niemiecką 8 DP. Po zaciętych walkach, pojedyncze oddziały przebiły się aż do Górecka Starego, Brzezin i odległego o 4km od Józefowa - Szopowego gdzie 27 września, pomimo wyjścia z okrążenia, postanowiły skapitulować. Część osłaniających je pododdziałów, w tym jednostka do której należał Czesiek, znalazło się po 26 września w zasięgu działań Armii Czerwonej. Nie widząc szans na dalsze powodzenie manewru, na zorganizowanym przez Sowieków wiecu, jednostki 39 DR-P składają broń a żołnierze zostają rozpuszczeni do domów. Wielu „internowanych” w tym czasie oficerów trafia później do Sowieckich obozów zagłady w Katyniu, Kozielsku i Ostaszkowie. Prawdopodobnie kilka dni później Czeskowi udaje się powrócić do zajętego (27.09) przez Sowieków Zwierzyńca. W dniu 11 listopada 1939 roku w Klemensowie, Czesławowi i Eugenii Skrzyńskim rodzi się ich pierwsze dziecko, córeczka Lidia. W czasie niemieckiej okupacji Eugenia wraz z córką i urodzonym w Boże Narodzenie 1941 r. synem Andrzejem mieszkają u rodziny Eugenii w Klemensowie. Rodzina Eugenii jest oficjalnie zatrudniona w zakładach cukrowni „Alva” co daje im względną gwarancję bezpieczeństwa i chroni przed narastającą falą wysiedleń i represji ze strony Niemców. W Klemensowie też przychodzi na świat ich drugi syn, Jerzy Władysław. Zaraz po klęsce wrześniowej 1939 r. zaczęły powstawać na tych terenach pierwsze organizacje ruchu oporu tworzone przez byłych oficerów WP oraz różne organizacje polityczne. Prawdopodobnie już od początku istnienia Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), Czesław Skrzyński, podobnie jak wielu innych byłych żołnierzy, urzędników, kolejarzy oraz pracowników leśnych, staje się jego współpracownikiem a nieco później zostaje zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej i otrzymuje pseudonim „Magik”. Pseudonim ten wiązał się z jego wręcz magicznymi zdolnościami, niebywałym sprytem i wrodzoną inteligencją. Potrafił naprawić niemal każde urządzenie, rozwiązać każdy problem i wyjść nawet z najbardziej beznadziejnej sytuacji. W stopniu kaprała jest prawą ręką i adiutantem plut. pchor. Czesława Mużacza „Selima”, który będąc d-cą pierwszego plutonu, pierwszej kompani w oddziale por. Konrada Bartoszewskiego „Wira” podlegał bezpośrednio pod rozkazy d-cy tej kompani

ppor. Edwarda Błaszczaka „Groma”. Sam pluton skupiał żołnierzy z okolicy Górecka, stacji Krasnobród i Majdanu Kasztelańskiego. Niestety niewiele wiemy na temat początkowej konspiracyjnej działalności „Magika”. On sam nigdy nie opowiadał swoich losów obawiając się represji ze strony PRL-owskich Służb Bezpieczeństwa. Wiemy, że brał udział w wielu akcjach dywersyjnych oraz ochronie RAF-owskich zrzutów jakie miały miejsce od 1943 r. na zrzutowisku „Hipopotam” nie opodal miejscowości Florianka. Wspomina o nim p. Witkowski ps. „Witek”, który wraz „Magikiem” i plut. Ignacym Pyterem ps. „Murzyn” naprawiał broń dla zamojskiego inspektoratu AK w urzędzonej konspiracyjnej rusznikarni w tartaku w Długim Kącie. W tym czasie „Magik” pracował tam oficjalnie jako ślusarz-tokarz i mieszkał pod przybranym nazwiskiem wraz z zaprzyjaźnionym „Murzynom”. Pan por. Czesław Mużacz „Selim” tak pamięta i charakteryzuje swojego podwładnego z tego okresu: „(...) Szczupły, chudy. Miał podoficerski stopień. Był przedwojennym kapralem. Wspominam go bardzo mile. Był zawsze do dyspozycji i chętny do bojowego działania. Uważałem go za swojego adiutanta i darzyłem bardzo dużym zaufaniem. Jeden z najlepszych żołnierzy. Miał dryg do majsterkowania i do wszystkiego co mechaniczne. Złota rączka - wszystko mógł nareperować i karabin i zniszczony motocykl ...” Dzięki niemu placówka „Selima” miała rzadki jak na tamte czasy środek transportu. „(...) Bardzo inteligentny ale też umiał rozweselić żołnierzy, śpiewał i grał. Lubił się zabawić...” Dzięki „Magikowi” i jego wrodzonej smykálce do mechaniki oddział „Selima” a później „Wira” był jedynym w inspektoracie oddziałem leśnym posiadającym na stanie motocykl wojskowy. Ciężko dziś dojść do tego ile tych motocykli było i jakiego typu. Jedni mówią, że był to przedwojenny WSK „Sokół” 1000, który to po zatopieniu w rzece w 1939 r. przez rozbijające się oddziały WP oddał Selimowi „Bej”, inni wspominają zdobyty przez oddział „Wira” niemiecki motocykl NSW 350. Zachowane w zbiorach KUL zdjęcie z kwatery oddziału na Trzepietniaku wyraźnie wskazuje na ten drugi. Nieco później „Magik” często woził nim rannego w nogę „Wira” a także jako zaufany łącznik przewoził meldunki i rozkazy pomiędzy oddziałami a dowództwem Inspektoratu. O jego wysokim stanowisku w obozie „Wira” mogą również świadczyć zachowane zdjęcia kadry oficerskiej i starszyny Inspektoratu w trakcie uroczystości otwarcia szpitala leśnego „665”. Najprawdopodobniej właśnie w tym okresie i zaraz przed okrążeniem otrzymuje nominację na stopień sierżanta. Z książki „Czapki na bakier” autorstwa Zbigniewa Jakubika „Marka” oraz ze wspomnień Janiny Bartoszewskiej „Niny” opublikowanych w książce „Paprocie zakwitły

krwią partyzantów” autorstwa Jerzego Markiewicza, możemy dowiedzieć się o niezwykle wręcz opanowaniu, niesamowitej odwadze i żołnierskiemu profesjonalizmowi sierżanta „Magika” w czasie bitwy pod Osuchami. Znalazł się bowiem w tylnej straży ochraniającej przebijającą się grupkę rannych z „Niną”, dr „Radwanem”, strz. „Tarzanem”, plut. „Murzynem”, ppor. „Irką”, mjr „Mieczem” i kilku innymi. Pomimo odniesionych wielu ran „Magik” wycofując się celnie raził Niemców ze zrzutowego „Stena” umożliwiając tym samym bezpieczny transport rannych, a później wraz z „Niną” powstrzymał dowodzącego grupą mjr „Miecza” przed wywołaną szokiem decyzją poddania się. (Raport z tego zdarzenia znajduje się w prywatnych zbiorach). Po Bitwie Osuchowskiej „Magik” nadal współdziałał z oddziałem „Wira”. Na swoją nową kwaterę wybiera drewnianą gajówkę „Babia Dolina” nie opodal stacji kolejowej Krasnobród (obecnie Józefów Roztoczański). Przez ten okres pracował dorywczo jako mechanik w tartaku położonym w pobliżu stacji oraz pomagał przy utrzymaniu stacji pomp i wieży ciśnień. Według córki sołtysa Majdanu Kasztelańskiego p. Bronisławy Tytoń (z domu Zawisłak) ps.Długa (łączniczki oddziału AK „Wira”) , „Magik” nie był na stałe zameldowany jako mieszkaniec leśniczówki (choć istniał taki wymóg narzucony przez okupanta) i przez to musiał często zmieniać miejsce pobytu przemieszczając się co jakiś czas pomiędzy Klemensowem, Zwierzyńcem, Majdanem Kasztelańskim i Długim Kątem. Do kwatery w gajówce na krótko w jesieni 1944 roku dołączyła do niego rodzina (żona z dziećmi) tylko po to aby na Wielkanoc 1945 r. po raz kolejny być zmuszonymi ratować się ucieczką (tym razem przed sowieckim NKWD). W listopadzie 1944 roku dociera do „Magika” wiadomość, że jego młodszy brat Stanisław, żołnierz oddziału NOW- AK por. Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana”, został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Biłgoraju. Tym samym „Magik” stał się bezpośrednio zainteresowany planowaną przez por. Bartoszewskiego „Wira” akcją rozbicia tegoż więzienia. Nastąpiła ona w nocy z 28 na 29 stycznia 1945 r. Znajdując tej nocy pomiędzy wieloma uwolnionymi zmaltretowanego torturami brata, po rozpuszczeniu przez „Wira” oddziału. W lesie w okolicy wsi Wola Mała, „Magik” wraz z bratem ucieka pieszo do Zwierzyńca. W tym czasie oddział „Wira” nie ma stałych miejsc zakwaterowania w lasach. Żołnierze po nocnych akcjach rozchodzą się do swoich domów. W trakcie ucieczki, przy temperaturze poniżej -30°C, „Magik” w nie najlepszych, jak na te warunki angielskich butach wojskowych (pochodzących z wcześniejszych zrzutów RAF-u) odmraża nogi. Sytuacja jest na tyle poważna, że po dotarciu do domu siostry Jaguni Baran w Zwierzyńcu,

dr Walerian (Wilhelm) Szczepankiewicz (również żołnierz AK) zmuszony jest w warunkach domowych amputować „Magikowi” większość palców u stóp. Przez następnych kilka miesięcy wraz z leczącym się z ran bratem oraz innym pokaźnej postury partyzantem plut. Mikołajem Glasem „Panterą” ukrywają się w bunkrze-schowku wykonanym pod podłogą domu przy ulicy Obrackiej. Wejście do schronu umieszczone w podłodze pokoju było w razie rewizji maskowane białą z „dopiero co rozpoczętym” praniem.

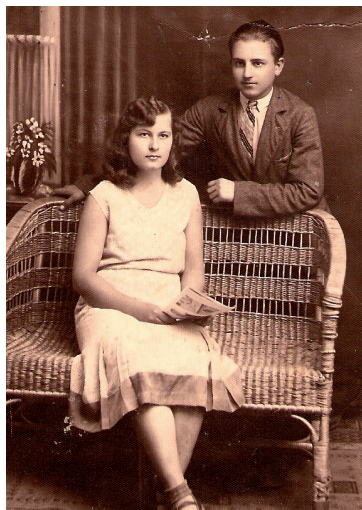
Po aresztowaniu „Selima” i jego wywózce w głąb Rosji, „Magik” nadal działał, tym razem w drugiej już konspiracji i wraz z Marią Piasecką „Żar”, ubezpieczał punkt kontaktowy w Górnikach gdzie spotykała się w tym czasie większość partyzantów. Między innymi przychodził tam „Wir” z żoną. Sam por. Konrad Bartoszewski „Wir” w tym okresie mieszkał kilkakrotnie w gajówce ze Skrzyńskimi. Magik był obecny na tzw. „Śniadaniu Wielkanocnym” w domu Berdzików w Górnikach 1.04.1945 r. Dzięki ostrzeżeniu łączniczki z oddziału Hanki Sobczak udało mu się wydostać i w ostatniej chwili wywieźć z okrążenia bezpieki żonę z dziećmi. Gajówka, w której mieszkali została wówczas doszczętnie spalona a w wyniku bohaterskiej walki z przeważającymi oddziałami UB zginął wówczas jego najlepszy przyjaciel plut. Ignacy Pyter „Murzyn”. „Magik” do końca życia nie mógł wybaczyć zdrady, której rezultatem było uwięzienie „Żar”, „Niny” i śmierć drogiego przyjaciela. Według p. Henryka Nowickiego „Orla”, „Magik” wziął jeszcze udział w nocnym pochówku plut. „Murzyna”.

Czesław Skrzyński „Magik” był aktywnie poszukiwany przez NKWD i UB, które z niezwykle zaciekłością tropiło żołnierzy „Wira” usiłując odnaleźć archiwum i magazyny byłego Inspektoratu Zamojskiego AK. Narastający terror i powtarzające się prześladowania stają się codziennością. Wokół ukrywających się partyzantów pierścien poszukiwań coraz bardziej się zaciska. Wśród kapusiów i donosicieli coraz częściej znajdują się byli koledzy z lasu a niejednokrotnie na skutek brutalnych metod śledczych nawet bezpośredni przełożeni. Okupacja sowiecka oraz wiążąca się z nią współpraca polskich i żydowskich komunistów staje się dla żołnierzy podziemia bardziej zgubna w skutkach niż poprzednie pięć lat niemieckiej okupacji. Za namową i przykładem swoich przełożonych, „Magik” postanawia się ujawnić, korzystając z amnestii z 22 lutego 1947 roku, co też czyni 12 kwietnia 1947 roku przed właściwym urzędem bezpieczeństwa w Zwierzyńcu. Niestety nie dane mu było żyć w spokoju a formalne ujawnienie jest tylko wybiegiem komunistów w celu wyłapania resztki byłych konspiratorów. Po wyjeździe „Wira” i „Niny” do Wrocławia a później do Warszawy, podobnie jak wielu

byłych żołnierzy AK Czesław Skrzyński „Magik” ucieka ze „spalonych” terenów Zwierzyńca na ziemie zachodnie. Przez pewien czas ukrywa się pod zmienionym nazwiskiem. Mieszka z dala od rodziny aby jej nie narażać. Wykorzystując swoje doświadczenie, jak też wrodzone zdolności, podejmuje pracę w poniemieckim tartaku i pomaga w uruchomieniu fabryki terpentyny. Powoli powraca do normalności, codziennego życia ale strach przed aresztowaniem będzie go prześladować do końca życia. W 1949 roku staje przed komisją wojskową w Starogardzie, która prawdopodobnie ze względu na trwałe kalectwo (brak palców u stóp i liczne rany) i nie znając jego wojennej przeszłości przenosi go do rezerwy w stopniu st. kaprała. „Magik” za swoje czyny w latach 1939-45 nigdy nie otrzymał żadnego odznaczenia. W większości współczesnych opracowań na temat Inspektoratu Zamojskiego AK widnieje jedynie pod pseudonimem. On sam nigdy nie zabiegał o specjalne wyróżnienie. Do końca życia był przekonany, że po prostu wykonywał swój żołnierski obowiązek. Po kolejnym aresztowaniu brata i jego skazaniu, jeszcze bardziej się zakonspirował i nigdy ponownie nie odwiedził rodzinnych terenów, którym przecież tak wiele poświęcił. Umarł w 1978 r. w Połczynie Zdroju zaledwie w wieku 65 lat.



Czesław Skrzyński
- zdjęcie przedwojenne



Czesław Skrzyński z siostrą
Eugenią, lata trzydzieste.



Magik podczas uroczystości
otwarcia szpitala leśnego



Obóz pod Trzepietniakiem, 1944.
Naprawa zdobytego na Niemcach
motocykla. Fot. Biblioteka KUL



Magik pierwszy z lewej, NN, w środku Franciszek Mielniczek „Jeź”,
w sukience Eugenia - żona „Magika”, obok niej „Wir”, NN



Stacja Krasnobród 1945 rok. W pobliżu domu „Magika” gdzie ukrywał się „Wir” z „Niną”. Na zdjęciu od lewej: „Baryka”, „Wir”, „Orkisz”, „Nina”, „Magik”.



Leśniczówka Babia Dolina spalona przez UB po Wielkanocy 1945 nie opodal stacji Krasnobród, gdzie w latach 1944-45 mieszkał „Magik” z tyłu od lewej: „Baryka”, „Nina”, z przodu: „Wir”, „Magik”, siedzi „Orkisz”



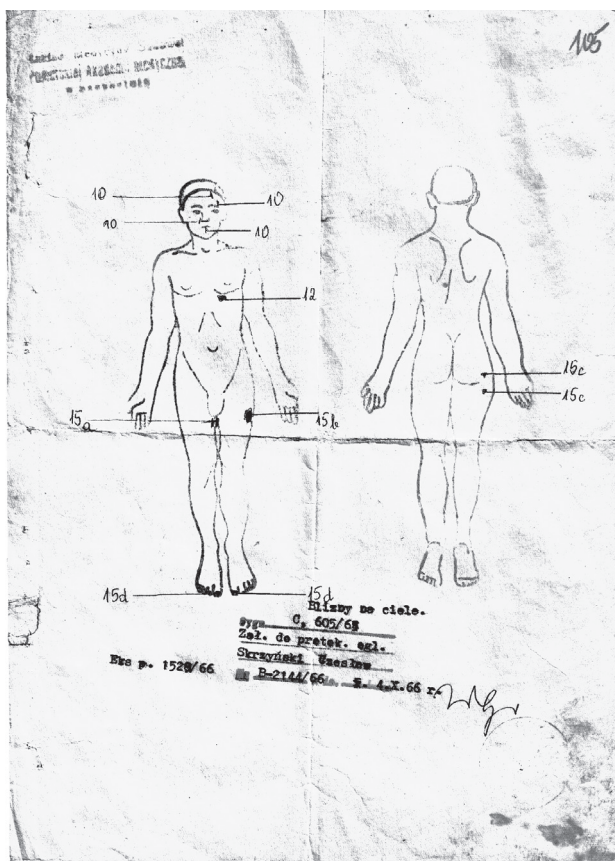
Od lewej syn Andrzej, szwagierka Halina, syn Jerzy, żona Eugenia, córka Lidia i „Magik” lata pięćdziesiąte. Połczyn Zdrój.



Stanisław Stażyński ze szwagierką (żoną "Magika") Eugenią i stojącą z przodu jej młodszą siostrą Haliną. 1937-38 r.



Połczyn Zdrój - ostatnie zdjęcie „Magika” z żoną Eugenią w 1978r.



Tak wyglądało ciało „Magika” po Osuchach... Obrażenia twarzy po granatach, postrzelenia nogi (na wylot) i odłamek w klatce piersiowej. Ktoś napisał w szkolnym archiwum, że „Magik” po Osuchach odszedł z oddziału. Wydawałoby się to prawdopodobne, zważywszy że oddział prawie przestał istnieć, a on był podziurawiony jak sito. W każdym razie długo poza oddziałem nie przebywał, bo już w październiku był z powrotem z Wirem. Pamiątką po rozbiciu więzienia w Biłgoraju były obcięte palce u nóg (tu akurat źle pokazane bo pozostały mu jedynie duże palce, małe obcięto).

Relacje żołnierza z oddziału „Woyny”



W 1939 roku miałem 15 i pół roku i my takie dzieci jeszcze, chodziliśmy i zbieraliśmy broń, amunicję bo wtedy ta Armia Kraków i Armia Lublin, przechodziła. Najwięcej było karabinów piechoty Mauserów ale były i rkm-y. Mieszkał tu taki Otto Andrzej, który nas zorganizował. Jego ojciec Juliusz był inspektorem lasów państwowych na województwo krakowskie i oni tutaj se dom wystawili. Niby miał być letniskowy ale wypadła wojna i oni stamtąd z Krakowa przenieśli się tutaj do Kaczórek. On tam miał inne styczości i myśmy nawet nie wiedzieli, gdzie oni tę broń i amunicję zabierali i magazynowali. To już starsze takie. Na wiosnę 1940 roku znów zaczęliśmy chodzić i zbierać. To granaty byli, to to, to tamto, takie ot.

Już w 1940 czy w 1941 roku to tutaj u nas były aresztowania. Pierwszym aresztowanym był gajowy Jasina, później Rosadziński, on tutaj miał sklep, Łukaszyk i znów był taki Krawczyk i jego też zabrali bo uciekł. Był w lagrach jako jeniec zabrany w Gdyni i uciekł a w Kaczórkach miał żonę. Ich ojciec był takim rządcą u hrabiego Łosia. Później się tutaj osiedlili bo oni dom kupili. Krawczyk był oficerem i jako marynarz pływał na „Piłsudskim”. Rosadzińskiego córkę też aresztowali ale gdzieś po dłuższym czasie zwolnili ją a te wszystkie zginęli w Oświęcimiu. A kto wiedział za co ich aresztowali? Przyjechali raniutko Niemcy obstawili, pozabierali i już.

Przez cały 1940 rok to myśmy chodzili, szukali. Dużo się nawet znajdowało tej broni. Razem ze mną chodził Szpinda Tadeusz, Dobek Marian i Lisicki Bogdan. Taka nas grupka była. Trochę się tam nazbierało. Tu były takie okopy bo jak armia się wycofywała to może ze dwie fury albo lepiej amunicji wyrzucili. Ruskie jeszcze naszli później i też rozbrajali polskie wojska. I tak do końca 1940 roku. W 1941 roku było już dużo Niemców bo przygotowywali się na Rosję. To tutaj po tych wioskach wszędzie Niemcy stali. Gdzieś ze dwa miesiące stali tutaj. To myśmy już cichutko siedzieli bo oni tu wszędzie chodzili, ćwiczenia robili. A jak Niemcy poszli na tych Ruskich to już

wtedy myśmy mieli ręce rozwiązane. Każdy już tam miał dla siebie karabin, amunicję, plecak, chlebak, całe to oporządzenie żołnierskie.

Plecak i chlebak miałem w domu. Za to nic nie było. Karabin w stodole pod deską trzymałem. Miałem karabin bo to w polskim wojsku nie było jeszcze wtedy automatów tylko Mauser. Później na polu wykopałem taki rowek, skrzynkę taką zbiłem, wkopałem w ziemię i tam trzymałem ze trzy karabiny. Darnią pozatykałem te rowki i nie było widać ale mi jeden podpatrzył i wykopał. Zabrali mi wszystkie ale to już starsze. Już byli z poznańskiego wysiedleńcy. Znow chodziliśmy bo trzeba było szukać dalej.

Jak była ta walka w Lasowcach to tutaj oni się wycofywali. Niemcy szli tędy na Zamość i tego Otta złapali z karabinem. Otto dał się złapać z karabinem tu w Kaczórkach i myśmy razem byli tylko ja się wcześniej wycofałem. Jak tam się bili to tutaj taki ruch był i gdzieś wyszedł i go capnęli. Rakietę puścili od razu bo to w nocy było, zabrali i poszli. On zginął podobno w Zamościu na Rotundzie, tam go rozstrzelali. Oni nazwisko niemieckie mieli i matka z córką żeby go ratować chcieli się zapisać ale ojciec to nie. Uciekał żeby z Niemcami się nie spotkać bo on pracował w lesie u hrabiego Łosia tam w Adamowie. Ale wtenczas nie wiadomo co się stało. Wszystko wtedy porozlatywało się i jego tu przywieźli tego Andrzeja na taką wizję lokalną. To było tak zrobione żeby go tutaj odbić a nie było komu. Ot tak i tutaj pojechali na Malewsczyznę, Hucisko, Hutę i dalej aż do Zwierzyńca. Czterech Ukraińców go pilnowało i tam zostawili go w saniach bo to w zimie było i on siedział psiakrew, a oni poszli do knajpy pić sobie piwo. A ten siedział. Furman, bo tutaj wzięli furmana, mówił „ja się bałem powiedzieć, że uciekaj”. Andrzej podobno był tak zbity, że nie miał siły uciekać. Później, jak bili się znow pod Wojdą to nas tutaj zebrali i już wtenczas śmy przysięgę złożyli. Zaraz jak skończyli tę walkę pod Wojdą to nas wtenczas wzięli na przysięgę. Leśniczego z Kaczórek syn tam był i on przysięgę odbierał. Nazywał się Stępień Tadeusz i z podchorążówki był, jeszcze wojenny. Przysięga to była tam pod lasem, przy domu tego Otta. Było nas kilku. Gdzieś ze czterech składało przysięgę, wszyscy miejscowi. Pamiętam, że byli wśród nich Szpinda Tadeusz i Dobek Marian. Dostałem pseudonim „Sybirak”. Do organizacji wstąpiłem w 1941 roku. Tutaj był taki pluton. Dowódcą plutonu był „Bławat” i ja byłem w tym plutonie. „Bławat” to był pseudonim, a nazywał się Boba - podoficer jeszcze z armii polskiej. Był powołany kartą mobilizacyjną, ale jakoś tak czy go puścili. Chyba go puścili, bo dużo Niemcy wojska polskiego rozpuścili i on też tutaj przyszedł do Kaczórek, bo on miał żonę i dziecko. W Kaczórkach uzbierał się pluton bo to już starsze byli takie

po wojsku. A my tak żeśmy na przyczepkę byli z nimi.

Tu Niemcy rozbili w Adamowie ten majątek cały. Wysiedlili tego hrabiego, tzn. hrabia był w niewoli a tu tylko hrabina została i wysiedlili ją. Tak, że SS miało ten majątek i wtenczas jak nastał tu ten oddział Kowpaka, choć to później Werszychora był, ale pierwszy był Kowpak. On był ranny i jego samolotem zabrali do Rosji a został się Werszychora. W Krasnobrodzie dużo żandarmerii było i dwie kompanie takich Własowców co poszli za Niemcami. Rosjanie natarli na Krasnobród. Sześciu żandarmów co w takim domku mieszkali wytłukli. Tu nawet do ojca przyjechali i przywieźli broń, wódkę. Później poszli na Adamów. Jak zaszli do Adamowa to ten cały niemiecki dowódca (esesman, taki oficer i on gdzieś tam ranny był na froncie to dali go tutaj) szedł a Ruskie tam już zaczęli się rządzić w tym majątku (ich była masa). Esesman wyszedł i myślał, że to te Kozaki (Własowcy). Ruskie złapali tych esesmanów i Kozaków dwie kompanie i wtenczas zabrali tych wszystkich, a tego komendanta to boso po śniegu gnali. Oni ich gnali gdzieś koło Kosobud, tak słyszeliśmy tutaj. Niemcy i Własowcy zbuntowali się i zaczęli uciekać. Podobno ich tam wszystkich wystrzelali do cna tych Własowców. W Adamowie, jak żeśmy byli to w trzy czy cztery sanie bo to w zimie było. Rosjanie odeszli a myśmy przyszli po nich do pustego majątku. To myśmy tak: z pięć czy sześć świń zabrali i beczkę spirytusu bo tam była gorzelnia w majątku w Adamowie. To taka beczka z pięćset litry, żeśmy tyle co wtoczyli na sanie a i radio znaleźli, i co się dało. Zdobycz rozlokowaliśmy już po wioskach, po ludziach. To nawet tak zrobili, że do ojca mąki przywieźli kilka worki.

Chodziliśmy na rzuty, gdzieś dwa razy na Floriankę i tam odbieraliśmy te rzuty. Myśmy tylko chodzili, zbierali na kupkę a potem uciekajcie. Myśmy nie mieli prawa wiedzieć, że tam albo tu jest chowane. Raz, jak tam gdzieś spuszczało, jeden spadochron gdzieś jakiś fiksowaty był czy coś i tam pękło to i wyleciało. Była tam amunicja i myśmy już wtedy nabrali sobie amunicji. Były też buty i dużo broni niemieckiej. To wszystko co tu przywozili i zrzucali to wszystko niemiecka broń. Tutaj nie było angielskiej. Stenów tych trochę zrzucali ale nikt nie chciał tego brać. Tam byli te niemieckie lkm, mundury angielskie, buty. Dużo było amunicji i niemieckich Schmeisserów. Naszym zadaniem było zbieranie bo to dużo spadochronów i na drzewie się trafiało to musieliśmy to jakoś ściągać a już i dzień zastał. Jak dochodziliśmy na plac tego rzutu, było tam już dwóch leśniczych, gajowych. Myśmy jechali furmankami. Wzięliśmy tam chłopów w Guciowie i tam żeśmy jechali. Nakazali nam żeby broń Boże światła nie było, latarką żeby nawet nie

zaświecić. Jak jechaliśmy to zrzucili zasobnik na przód koni i tej furmanki co myśmy nią jechali. To te konie pryśli, że nie wiadomo było kogo łapać. Konie jak zobaczyły ten spadochron to się spłoszyły. O tych zrzutach to już decydował tylko Inspektor „Kalina”. Te furmany to oni byli swoje już. Tu wszystko, jak Guciów, Bondyrz czy Kaczórki to byli swoje ludzie. Na Hutkach byli volksdeutsche a w Kaczórkach nie. Tutaj to gdzieś trzech czy czterech było na Hutkach. Przeważnie żony były z rodziny niemieckiej.

Później jeszcze na cukier do Klemensowa nas zabrali. Tam cztery wagony cukru lokomotywa wyciągała z cukrowni na główny tor. Czterech Niemców pilnowało tego cukru ale oni byli za bardzo pewne. W jednym wagonie siedzieli i ładnie tam nasi skoczyli i zabrali tych Niemców. Gdzieś ich tam trzymali bo to takie z Werhmachtu byli. Wtenczas zaczęliśmy wyładowywać bo to już były furmanki. Furmanki były od nas z Kaczórek, z Bondyrza, z Trzepiecina a nawet ze Szczepieszyna i Zwierzyńca. Cztery wagony cukru to jest kupa cukru. Radecznica też dała dużo fur tak, że myśmy dwa wagony cukru zabrali i Radecznica dwa. W Bondyrzu była fabryka mebli i tutaj była taka piwnica i w tę piwnicę napchaliśmy cukru ale trochę każdy sobie wziął. Furman jak jechał do domu to też se worek cukru wziął.

Później już w 1944 roku to z początku już nas zaczęli szkolić. Karabin to myśmy już znali, jak swoje pięć groszy, rozbieraliśmy, składaliśmy, zamki to wszystko. Aby tylko jeden wojskowy nas nauczył i później już jeden drugiemu pokazywał. Ćwiczyliśmy również strzelanie. Tam takie debry byli i myśmy tam chodzili i sprawdzaliśmy nasze umiejętności. Robiliśmy sobie takie tarcze. Czasem się trafiło, czasem nie. Od początku 1944 roku poszliśmy na kurs minerski, który odbywał się w Bondyrzu w lesie w takiej deberce i tam żeśmy się uczyli. Był fachowiec, wojskowy miner. Starszych na kurs nie brali tylko nas młodych wzięli. Kurs trwał gdzieś z tydzień czy lepiej. Codziennie chodziliśmy tam do lasu. Instruktor pokazał jak się spłonkę zakłada jakie lonty są. Jest lont piorunujący, jest i zwykły lont. Trza wpierv sprawdzić. Ucina się najpierw kawałek lontu takiego i takiego, zapala się i się patrzy jak ogień idzie przez ten lont. A takie piorunujące to było, jak się kilka min zakłada i tam się zapalniki wkłada i już wtenczas do tych zapalników wkłada się lont piorunujący. Dopiero jak chcié więcej było to robi się węzeł z tego wszystkiego i zapalnik się wkłada w ten węzeł. To nawet 5 i 6 się zakładało. Jak on założył tutaj już w ten węzeł, a w węźle była piorunująca to wszystko wyleciało w jednym czasie. On nam wszystko pokazywał. Na koniec my mieliśmy mieć egzaminy z tego ale przyszedłem do Kaczórek i tu o zaraz przez drogę Gajewski mieszkał, taki starszy i mówi: „Sąsiad

pójdiesz na kurs łączności”. Ja mówię, że chodzę tam a on mówi „Zostaw to i tylko weź se jeszcze jednego ze sobą”. Poszedłem zaraz do sąsiada Mariana Dobka i mówię Marian pójdiesz ze mną a on mówi „Pójdę”. No to już.

Zarządzili zbiórkę aż pod samym Guciowem i z bronią, już ze wszystkim żeśmy poszli. Prowadzili nas, które teren znali do Puszczy Solskiej. Było to w 1944 roku gdzieś z początkiem czerwca. Na kurs łączności z Kaczórek poszło nas dwóch ale tam jeszcze inni byli, nawet z Zawady i tutaj przyszli na ten kurs łączności. Po drodze myśmy, nie wiem gdzie krowę kupili i z krową przyszliśmy do lasu. Zaprowadzili nas do oddziału „Woyny”. Tam żeśmy przyszli w wieczór już prawie. Zbiórkę dla tych nowych wszystkich zrobił „Boryna”, zastępca „Woyny”. Nas tam było więcej jak 20. Przyszedł „Kalina” i zameldowali. Bacność! Jak wojsko. „Kalina” powiedział do nas „Jutro będziecie żołnierzami prawdziwymi” Później było nas 102 w tym oddziale. Tam było dużo oficerów, jak to przy sztabie. Rano zbiórka, poszliśmy się umyć w takiej rzeczce. Czarna Łada się nazywała. Potem zjedliśmy śniadanie z kuchni polowej jeszcze z września. Tylko było tak zrobione, że wisiała a pod spodem palili. Zaraz po śniadaniu zbiórka i przydział sortów. Tam był jeden taki barak duży z magazynem broni i tam nam wydawali mundury i buty. Nowiutkie wszystko, chlebaki nawet i szelki. Hełmy mieliśmy polskie z 1939 roku. Zaraz też wydali nam broń a tę, z którą przyszliśmy kazali odłożyć. Myśmy mieli w oddziale ponad 40 niemieckich Schmeisserów, 16 lkm niemieckich i mieliśmy 3 PIAT-y. PIAT-y to już żołnierze z 1939 roku dostali. Tam szef kompanii, jako podoficer przydzielał wszystko. On pochodził z Aleksandrowa. Ja dostałem Schmeissera. Oficerowie mieli broń krótką a nam przydzielili też Colty Smithy. Ja go nawet do domu przyniosłem. Granaty angielskie były, takie malowane białą i czerwoną farbą, takie same jak granaty polskie. Później nam nawet opatrunki wydali. Trzymaliśmy je w takich kieszonkach spodni z boku a na kolanie też była kieszeń. Steny też były ale ich nikt nie chciał brać bo były do niczego. Jeden jechał konno i gdzieś trącił przypadkiem tym Stenem i wyleciał nabój i zabiło go. To taka kowalska robota była.

Należałem do plutonu łączności „I” tj. kablowego a był jeszcze pluton radiowy „r” i był pluton „o” czyli ochrona całej tej szkoły i sztabu. Przysłali nam centralę. To wszystko włoskie byli te aparaty bo Włochom to zabrali i tutaj przesłali. Na 10 stacji było. Plutonem „r” dowodził Czesław Suchożebrski „Omega”, który przyprowadził ze sobą pięciu chłopaków z Bondyrza. Oni byli w obozie już przed nami. Zanim tu przyszli to dłuższy czas mieli kursy aż gdzieś pod Radecznicą. Żeby być radiowcem to alfabet Morse’a trzeba

było znać. Oni siedzieli już tam po całych dniach. A ten „Omega” to on po całych nocach prawie siedział bo w nocy nadawali. Mieli takie urządzenie do wytwarzania prądu. Wykopali rów, wpuścili je i jak ten motor chodził to daleko się nie rozchodziło. „Omega” zawsze całą noc nadawał do Anglii.

Nasz oddział stał między Tereszpołem a Aleksandrowem, obok gajówki „Okno”. Przed akcją Niemcy ją zbombardowali i gajowy wyszedł z synem i przyszli do oddziału bo nie mieli już domu. Oficerowie mieli taki nieduży barak drewniany. My też w baraku takim spaliliśmy osobno. Kazali nam ze świerków narwać takiej miękkiej gałązki. Jak żeśmy narwali tych gałązek, nakładli na prycze, spadochronami zaścielili to było całkiem wygodnie. Przykrywaliśmy się kocami. Koce niemieckie były bo wszystko ze zrzutów kocami okręcali i dopiero w pojemniki było kładzione. Koce nam dali jak rozebrali te pojemniki, każdy jeden koc miał. Barak był z drewnianą podłogą. Na Długim Kącie robili dla Niemców na baraki takie gotowe elementy tylko do składania. Wzięli fury i pojechali na ten tartak, nabrali tych elementów gotowych i składali w lesie. Oficerowie w baraku byli, myśmy w baraku byli, no i pluton „o” też w baraku. Pluton „r” to był w namiocie. „Kalina” miał osobny barak. Była zrobiona nawet altanka dla oficerów. Kazali mi raz zanieść obiad do tej altanki. Wziąłem dwie miski takie i idę. A ten „Kalina” wstał i tak mówi „Oj żołnierzu tu tak troszkę za szeroki kołnierzyk macie”. Na obiad zaniósłem mu kawałek mięsa. Tam było ładnie. Chleby piekli po gajówkach, ale jak później je zbombardowali to musieliśmy aż do Trzepietniaka wozić i tam chleb piec. Piekli też nawet w Górecku.

Szpital to jakiś kilometr od obozu był. Tam też mieli barak. Przez środek szedł wąski korytarz a po bokach sale dla rannych i chorych były. Mieli tam również salę operacyjną. Tam dwóch lekarzy było „Radwan” i „Korab”.

Szkolenia piechoty prowadził zastępca „Woyny” Józef Wojciechowski „Boryna”. Ćwiczyliśmy czołganie, okopywanie się. Szkolił nas także „Bej” Mieczysław Wójcik, porucznik z naszego plutonu. On z Długiego Kąta musi był. Na szkoleniach było rozbieranie i składanie broni. Do obiadu myśmy mieli szkolenie ze szpulami i podłączaniem aparatów. Przyszliśmy na obiad, zjedliśmy, posiedzieli pół godziny a potem zbiórka i szkolenie piechoty. Tam było u nas cztery szwaczek. Ze spadochronów szyły nam bieliznę. Mieli taki namiot duży, cztery maszyny i stół. Było jeszcze trzy czy cztery sanitariuszek. „Woyna” był bardzo inteligentny chłop, zgrabny. On chodził w mundurze jeszcze przedwojennym i w oficerkach.

Już żeśmy musieli chodzić po lesie. Wychodziło dwa, trzy patrole po dwóch i w koło obozu chodzili. Jak się już zaczęło to wszystko to ja

poszedłem bo telefon był do oddziału z posterunku i mnie wysłali do tego telefonu. Natomiast Mariana Dobka wysłali przez takie bagna na obserwację. Posterunek był tylko jeden przy głównej drodze. Ja wiem? Z kilometr albo i lepiej od obozu. Jak się w nocy szło to ciemno było. Wtenczas ja poszedłem na ten posterunek przy telefonie a ten kolega poszedł przez taką kładeczkę i zobaczył, że Niemcy już idą. O tym, że oni na nas idą wiedzieliśmy już wcześniej bo dochodziły meldunki o walkach w lasach janowskich.

Myśmy nawet podeszli w nocy pod Tereszpól i mieliśmy uderzać ale tam już dużo Niemców się kwaterowało, szkoda było ludzi cywilnych i odstąpiliśmy. Też uczestniczyłem w tym nocnym marszu. Nikt jednak nie spodziewał się, że Niemcy podeszli tak blisko. Jak Marian zobaczył, że Niemcy idą to przyleciał piorunem do obozu bo już nie miał łączności. Porucznik, nawet nie pamiętam, który zebrał chłopaków może z piętnastu i polecieł. Jak tam przylecieli to już niedaleko byli i Niemcy. Nasi przywitani ich tam bronią maszynową. Jeden położył się za pniakiem ale miał plecak na plecach i Szwab widział go cholendra za tym pniakiem. Podniósł łeb wyżej i to go zgubiło bo ten zza pniaka wziął go na cel i łopnął. No wtenczas jak się zaczęli bić. Później artyleria jak się do tego zeszyła. Choroba! W lesie, jak artyleria bije to niech Bóg broni. Na polu to się położy gdzie, jaki dołek wykopie a tutaj co zrobić. Pociski rwą się na drzewach, gałęzie lecą na dół. I ja tak stoję, tu biją tylko gałęzie lecą a ja chłopak młody jeszcze w takim miejscu nigdy nie był i tylkom się skulił. W tym starciu było tak dobrze dwóch rannych. Jeden „Waligóra” a drugi był z Biłgoraja. On był lekarzem do krów i koni, weterynarz. I co tylko chcieli podejść żeby go zabrać to Niemcy mocniej strzelali i nie mogli już dojść i go zabrać. Niemcy go już wzięli. Ludwik się nazywał, Niemcy go później rozstrzelali. „Waligóra” przeżył, bo go nieśli. „Nina” taka była przełożoną całego pielęgniarstwa i ona się nim zajęła. To fajna babka, jeździła na koniu i pytała „Gdzie ranni? Czy są ranni?”. Nasi załadowali co tylko mogli na wozy i do oddziału „Wira” żeśmy poszli. Jak już wyjechali z obozu to jechali tą drogą co ja poszedłem na posterunek i mnie zabrali wtenczas. Zabrali też telefon a kable zostały bo nie było już czasu. Z broni to tylko to, co myśmy ze sobą do lasu przynieśli zostało bo nie było kiedy zakopywać. Baraki Niemcy zaraz spalili. Prowadzili nas wtenczas przez szosę koło Aleksandrowa i tam żeśmy przeszli. Pobyliśmy u „Wira” parę godzin tylko. Dotarli inni, dużo ich tam było i „Wir” też z nami poszedł. Przeszliśmy w te bagna. Bożesz kochany! Tam takie bagna byli, że myśmy jak tylko jakieś gałęzie czy krzaki się trafiły to żeśmy się kładli na plecy z nogami do góry i woda wylewała się z butów. Tam jeszcze mieliśmy też zaczepkę z Niemcami. Jak druga potyczka

była to wyjechały na nas czołgi i ten z tego PIAT-a strzelił ale sam też został ranny. Gdzieś tak z boku ten czołg trafił i Niemcy zobaczyli, że to nic z tego nie będzie i się wycofali. Przeszliśmy w te bagna i wtedy mówili „O tutaj w te bagna jak się zagonimy to Niemcy nie pójda”. Niemcy jednak mieli samolot zwiadowczy, który bez przerwy nad nami wisiał, tak że oni wiedzieli gdzie jesteśmy. To tak samo jak pierwszy raz artylerią uderzyli. Najpierw samolot nas wypatrzył. Z początku gdzieś tam źle obliczyli i we własne stanowiska rąbnęli. Jak w swoich wykropili to tam od razu u nich krzyk się podniósł, dali znać dalej, nanieśli poprawkę i po obozie już zaczęli wtenczas bić.

Byli ranni. Jeden chłopak dostał w obydwie nogi i żeśmy tak go cały czas nosili ale później, jak żeśmy na stanowiska niemieckie natarli to nie wiem co się z nim stało. Byliśmy bliżej Józefowa gdy przyjechał jakiś pułkownik ruski, w płaszczu skórzanym, wysoki chłop i z nim, jeszcze trzech było, żeby wspólnie złączyć się i uderzyć. „Kalina” się nie chciał zgodzić. Dlaczego się nie zgodził nie wiem. Tam nic żołnierz nie wiedział, tylko oficerowie może.

„Kalina” zdał dowództwo i jak już zdał tak szczeł. Nikt nie wiedział gdzie się podział. „Miecz” przyjął po nim komendę ale tylko na dobę czasu. Wśród żołnierzy nic się nie mówiło o zniknięciu „Kaliny”. Oficerowie z boku siadali na kocu i tam obgadywali to wszystko. Po „Mieczu” dowództwo wziął „Wir” ale on był ranny i go nieśli.

Tam byli konie ale w bagnach się zostali. Byliśmy bardzo zmęczeni. Oj Boże kochany! W nocy to trzeba było iść a w dzień znów samoloty. Nie było co jeść. Tam gdzieś mieli konia i już go gotowali ale Niemcy zbombardowali i dowidzenia. W tę kuchnię gdzieś uderzyło i po koniu. Byli tacy co się odłączali. Już było rozprężenie, nie było dyscypliny żadnej. Oficerowie nie pilnowali. „Wir” ze swoimi na tę rzekę poszedł, a nas pchnęli trochę w prawo. Jak już Niemcy zaczęli w nocy do nas bić to my czołgaliśmy się i tak podlatywali, i na przód jeden drugiego podciągał, i na przód. Widzę, że jeden tak skulił się za taką sosenką niedużą i patrzy się. Ja przyleciałem i krzyczę - Na przód! Oglądam się patrzę a to „Woyna” i on dalej poleciał do przodu i później czytałem nawet, że leżał zabity w życie bo tam takie żyto nieduże było. A ja dostałem ogień taki, że musiałem się przewrócić. Wtenczas porucznik „Omega” przyleciał i trzymał się za rękę „Chłopcy nie przejdziemy tędy, nie przejdziemy”. Z „Omegą” to było tak, że jak szliśmy do ataku to on wpadł do okopów niemieckich i tam zastrzelił żołnierza i potem do oficera strzelił ale nie trafił i wtedy oficer w niego wypalił. „Omega” wyskoczył z tego okopu a ja jeszcze się podczołgiwałem i on mówi: nie damy rady przejść tędy. Ja mówię - Co tam panie poruczniku? Widzę, że czerwona ręka. „A dostałem o tu, kula

przeszła na wylot przez rękę”. A gdzie opatrunek? „Ja nie mam opatrunku”. To ja swój opatrunek wyjąłem i okręcam mu tę rękę. Wycofywaliśmy się na taką łękę. Już było widno bo w czerwcu to słońce prędko wschodzi i tak żeśmy wyszli, nie wiem może gdzie z pięćset metry, może i nie i spotkaliśmy znów takich może ze trzydziestu. Zbieranina, to już była. Jeden tam gdzieś miał połówkę chleba i porucznik nawet wziął noża i każdemu po kromeczce tego chleba dawał. Ja już wtenczas gdzieś pewno ze dwie doby nie jadłem. No i tak żeśmy zjedli ten chleb. Tylko gdzie teraz pójdziem? Było gdzieś ze trzy poruczniki w tej grupie i rozdzieliliśmy się. „Omega” z większą grupą poszedł dalej i słychać było strzelaninę. Tam się rozleciało, bo nie mogli przejść. Rzeka tam nie jest szeroka ale taka, jak Wieprz prawie, może troszkę większa. Tam powolutku czołgało się ze trzech przez tę rzekę a stał na brzegu na stanowisku niemiecki karabin maszynowy i tak tam siekł. Jeden podszedł, rzucił granat i wszystko ucichło. Cichutko się zrobiło ale to wszystko tam rozleciało się i na pewno on tam został zabity. Gdzie tam poszedł ten „Omega”? Naprawdę to on musi „Watt” być. To było już w dzień.

Jak żeśmy szli w nocy do tego natarcia, to rzeczka żeśmy szli tak dłuższy czas i później droga była. Uszedłem może ze 20 lub ze 30 metrów a może i nie a tu z razu błysk się zrobił mnie przed oczami i nie wiem nic. Tak mnie zakotłowało, że przewróciłem się i słyszę jak tu zaraz kolega krzyczy „Dobijcie mnie!” A ja leżę i słyszę to a nie mogę się ruszyć i nie wiem czy mam ręce i nogi. I tak rękami ruszam, jedną- jest, drugą- jest, nogami- jest. Wstałem, poszedłem do tej rzeczki napić się bo mi się strasznie chciało pić. Napiłem się i chciałem dalej iść ale jak zaczęli bić to te pociski jeno gwizdali. Nas było kilku. Upadłem i leżę ale troszkę przerwy się zrobiło. Podnoszę głowę a tu nie ma nikogo. Boże kochany! Dla takiego młodego chłopaka, że to nie ma nikogo! Były tam takie krzaki i znów ogień żem dostał taki, że upadłem. To szczęście, że najpierw mnie z boku szurnął. Jak biegłem usłyszałem gwizd kul i upadłem. Później, jak się do ziemi przytuliłem to jak ptaszki świergotali te kule karabinowe. Wycofałem się trochę i leżę. Wtedy jeszcze jeden się do mnie przyłączył. Mówił, że tam gdzieś od „Jaskółki” jest. Cofamy się i patrzę a przy karabinie, przy lkm kłęcz ten mój kolega Dobek. Mówię do niego „Marian cofajmy się, bo nie przejdziem”. Ale on nie chciał z nami iść mówił „Nie bądź pierwszy, nie bądź ostatni” i on się został i zginął. Tam nic nie było widać. Człowiek nie wiedział co ma robić. Jeszcze siadłem tak koło sosny i mówię „Boże kochany tutaj moja głowa będzie leżeć, szkoda moich lat młodych”. Myślę - pójdę tędy i poszedłem. Odłączyłem się i jeszcze jeden ze mną od „Jaskółki”. On nawet butów nie miał, boso był. Przyszedł

od Buga i tam taka była bieda, że oni butów nie mieli. Pomyślałem, że w takie krzaczki pójde. Łąka z jednej strony, z drugiej taka łożyna gęsta nawet. Idziemy tak obydwaj tą łożyną, patrząc a tu dwóch siedzi, mają dwa lkm, znaczy od „Woyny”. No nas czterech już jest teraz. Ale to tak, mają te dwa lkm, po 50 sztuk amunicji to jedno plunięcie i nie ma. Później tak żeśmy posiadali i pozasypialiśmy z tego wszystkiego. Nagle straszna strzelanina i to niedaleko. Strzelanina nas obudziła i teraz patrzmy się a tu już Niemcy idą. Nas czterech tylko, ale oni nic na łąkę nie wychodzili tylko po boku lasu szli a łąkę i te parę krzaków co myśmy siedzieli zostawili. Jak oni to przeszli to my wycofaliśmy się na ich tyły, czołgaliśmy się. Tam gdzieś błoto takie było, taka żółta maź, i my choroba w tym błocie, ale człowiek nie patrzył. Tak było, że myśmy się czołgali tak cicho, że sarna stała ale się nie patrzyła na nas tylko w drugą stronę. Myśmy do niej blisko podeszli. Miałem ze sobą jeszcze tego Colta. Ładny, jak cholera, sześciostrzałowy, bębenkowy. Idziemy, patrzymy i tu zabity leży i tam zabity leży. Co Niemcy robili, że kamasze im zrzucali? Kamasze z boku leżeli. Czy szukali coś w kamaszach, czy co te Szwabcy?

Rannych oj było, było. To ten co w nogi obydwój dostał to Boże kochany ile myśmy się z nim umordowali. Tam gdzie już Niemcy przeszli to już rannych nie było bo oni nie brali do niewoli. I tak żeśmy chodzili cały dzień. To szczęście żeśmy w las weszli taki nieduży. Sosna była rzadko ale świerków bardzo dużo i takie rozłożyste te świerki byli. Ale już nas się po drodze znalazło siedmiu i Ruski jeden w tym był. Nie miał gdzie się podziać. On mówił, że z jednej strony siedział pod tym rozłożystym świerkiem, a z drugiej strony Niemiec podnosił gałąź i gada mnie nie zobaczył. Opowiadał, że jak „budiet gawarił wychadit to ja z pepeszy pa nim”. Tam żeśmy byli trochę. Boże kochany widno takie a my śpimy. Któryś mówi trza się przespać w dzień a w nocy pójdziemy. Człowiek zmordowany, głodny, chłodny i do domu daleko i pozasypialiśmy. Ale szczęście, że jeden się przebudził. Krzyknął Niemcy! Złapaliśmy tylko broń, koce a oni już całkiem blisko byli. Może jakieś 20 metry a może nawet i tyle nie było. My zaczęliśmy uciekać. Oni doszli do tego lasku, tupot się zrobił a w lesie tym nawet trawa taka trochę rosła. Było widać w którą stronę idziesz, bo jak depczesz to trawa się kładzie pod butami. Niemcy nas widzieli i doszli tutaj gdzie myśmy spali a rosa była i widać było ślady. Myśmy lecieli prosto a później w prawo żeśmy skęcili. A oni doszli do tego naszego miejsca i jak zaczęli bić, że Jezus kochany. Bili na wprost i myśleli, że w nas ale myśmy w prawo poszli. Tak bili, że ze świerków gałęzie lecieli. Potem Niemcy gdzieś już poszli w drugą stronę. Se myślę, gdzie tu uciekać? Myśmy się odłączyli z tym od „Jaskółki” we

dwóch i żeśmy poszli w bok a tych pięciu poszło dalej razem. Idziem, idziem i patrzam a tu jeszcze kabel leży niemiecki. Przeciąć kabel to już oni wiedzą, że tu jest, tu musi być. Poszliśmy dalej do takiej drogi między Hamernią a stacją kolejową i tam tak leżym przy drodze w rowie a ja z bronią i w mundurze cały czas. Ten co ze mną się przedzierał był bez munduru i boso to jeszcze mógł się jakoś tłumaczyć a ja nie miałem żadnego wyjścia jak byli mnie złapali. I tak leżym ale tak cichutko jak makiem zasiał nie ma nic. A tutaj przed drogą taki ugór jest i tak pod górkę. „I co robić?” - on mówi. A ja mówię - spróbuję może nas nie zobaczą. Cichutko nie ma nikogo to my dawaj przez tę drogę. Aleśmy mieli jakieś więcej jak 50 metry terenu odkrytego. Lecim biegiem. On boso cholera poszedł, a mnie zatkało gdzieś serce bo nawet wody nie piłem prawie przez trzy dni, odwodniony byłem. Idę pomalutku, już trudno a on już w krzakach tam siedzi na górze. Ale dochodzę tam patrzę się, jest znowu jeden od „Woyny” ranny w nogę. On wcześniej wyszedł na to pole. Opowiadał, że go Niemiec gnał. Mówi „Ja miałem tego Schmeissera i on to samo, i on do mnie strzela to ja się odwracam i do niego, i znów uciekam, on za mną to ja znów do niego strzelam i on się został. Nie wiem czy on dostał tam gdzie kulą czy jak, że został”. Przychodzimy i patrzę a ten od „Woyny” już kawałek chleba zuchła. Ja mówię daj kawałek tyś się już chyba najadł, a on mówi „Oj troszkę się najadł”. Chleb przyniosła mu kobieta z Hamernii czy z Pardysówki. Ta kobieta jeszcze przyszła, bo zobaczyła, że nas już jest trzech. Przyszła z pola bo ona robiła na polu i ona chleb przyniosła temu pierwszemu. On już troszkę podjadł i myśmy mu zabrali i połamali na pół ten chleb i jedliśmy gdy ona przyszła. „O! - gada - to już was trzech tutaj jest, głodne jesteście?” Ja mówię - pani nie ma co gadać. „No spróbuje ja coś przynieść” i poszła. Może tam z godzinę a może lepiej nawet było i przyniosła taki garnek spory kaszy jaglanej. My tak siedliśmy w koło we trzech do tego garnka i dziobaliśmy tę kaszę. Ale nie można było jeść tak naprawdę. Taki człowiek był zaschnięty taki głodny, że nie można było jeść. Czekaliśmy aż ona przyszeła po ten garnek. „To co - pyta - wy nie głodne?” Głodne jeno nie możemy jeść. „Możliwe - mówi ona”, wzięła ten garnek i poszła. Wieczorem już zaczynają ściągać do nas inni partyzanci. Nawet z oddziału „Woyny” byli. Tą samą drogą co myśmy w dzień szli to oni czekali na noc, żeby się przerwać przez te pola. Ile nas już wtedy było? Bo ja wiem? Bo to parę poszło w drugą stronę a nas to było zaraz, nas trzech, gdzieś pięć i dziewczyna. Będziem się przedzierać, ale tutaj tor kolejowy leci. Do toru kolejowego żyto było i wszyscy czołgamy się w życie i przyczolągaliśmy się i tam jak Majdan Sopocki, koło cmentarza. Tam taka rzeczka rozlała się i takie bagno było.

Jak żeśmy weszli to do kolan w błoto. Potem nogi do góry, powylewało się wodę i idziemy. Planowaliśmy z góry, że pójdziem w tamten las niedaleki i na pola tzw. Koziowody, tam jak Stanisławów jest, Górniki. Doczołgaliśmy się do tego toru, słyszym pociąg idzie, a to Niemcy już się wycofywali. Latarki mają w tych drzwiach popowieszane, stoją. My ich widzimy ale oni nas nie widzieli. Pociąg przeszedł ale my wiemy, że tu ochrona chodzi ponad torem. Pilnowali tych torów. To my pomalutku i wio przez te tory. Rowem żeśmy przeskoczyli, doszliśmy do tej rzeczki i co robić? No ja wiem? Idziem na cmentarz to może się prześpimy. A tam! Będę chodził po cmentarzach jeszcze czasu mam dość na to. I wyszliśmy przez tę rzeczkę a ona miała ze 30 metry, takie rozlewisko było i zaszliśmy do tego lasku i idziem, idziem, idziem i nie ma końca. Mówią - „No to może śpimy tutaj?” Położyliśmy się i śpimy a tu już dzień się zrobił i pociąg słychać jak gwizdże. A my może jakieś 100 metry od pociągu. Pozrywaliśmy się i znów za koce i wiem jak lichy od tego toru kolejowego bo przecież Niemcy chodzą tędy. Ale wiedzieliśmy gdzie pole jest. Tam wyszliśmy na pole, a ludzie już na polu są to się pytamy jak tu jest. Oni mówią nam, że tu nie ma nikogo, że tu cicho. To było tutaj, jak Hamernia i Nowiny, jak jest stacja kolejowa Nowiny i tędy żeśmy przechodzili. Później, jak już żeśmy przeszli tamto pole to nawet tam na tym polu i z Kaczórek byli już znajome. Już żeśmy się dowiedzieli czy kogo złapali, czy nie. Ten co boso chodził to zaraz, jak przeszliśmy przez tę rzeczkę odłączył się i poszedł w swoje strony. Już po cywilnemu i karabin zostawił. My idziemy dalej i wyszliśmy na pola. Tam ta Koziwoda, później Malenica i Kaczórki no i spuszczały się w dół. Ta dziewczyna mówi, że ona na Bondyrzu ma kuzynów a ona też od Buga była. A kto? – mówię, a ona odpowiada, że Teterycz ale nie myślała, że tych Teteryczów tu pełno i wszystkie bodaj mieli pseudonimy. To ja mówię - Może ten Bosy? „Ja nie wiem – mówi - ale tam jest Janek, Cesiak”. A no to ja już wiem. Wytlumaczyłem jej jak trafić i poszła do Bondyrza a my doszliśmy już do drogi i ja mówię do tych dwóch bo już nas się trzech tylko zostało. Wiecie co? Ja pójdę, z tamtej strony jeszcze kawałeczek drogi się zostało to pójdę i zobaczę jak tam jest. Boję się bo ja w mundurze idę. Przyszedłem do domu. O Boże kochany, krzyk, płacz.

W domu dopiero później wiedzieli gdzie poszedłem bo tutaj wcześniej przyszła taka jedna i powiedziała, że mnie widziała tam pod Osuchami. Oni nie mieli nadziei, że żywy wróć. Powiedziałem do ojca żeby wzion z domu jaki worek i tam do nich poszedł i zabrał od nich te pistolety, żeby ludzie tak nie patrzyli. Ojciec poszedł i tak zrobił. Oni byli u nas przez parę dni ale nie bardzo długo. Ten z przestrzeloną nogą był z Aleksandrowa

a drugi Jerzy Karcz „Bohun” z Biłgoraja. Potem poszli. Jeszcze ich trochę podprowadził, trochę im powiedział żeby przez las szli i obok Huty uważali. I zaszedł bo później tego „Bohuna” spotkałem jak akcja „Burza” była tutaj. Na Osuchy okoliczne te chłopcy to chodzili i zbierali tych trupów, zwozili ich i ten cmentarz zrobili tam wtenczas. Z Kaczórek i Bondyrza w oddziale „Woyny” walczyli pod Osuchami: Marian Dobek, Piotr Kudyba, Roman Komisarczuk „Skobel”, Edward Szpyra, Stefan Szpyra, Czesław Gumieła i ja Józef Kukułowicz „Sybirak”. Dobek, Komisarczuk i bracia Szpyrowie zginęli a pozostali przeżyli. Żadnego nie zidentyfikowano. Szpyrów to było dwóch i obaj zginęli. Ich ojciec mówił, że oni podobno leżą tak z tyłu pomnika ale bez tabliczki z nazwiskiem. Komisarczuka też nie przywieźli. Wtedy jednego dnia zginął ojciec i syn. Ojciec wyszedł na pagór od Adamowa i tam go zabili i zaraz zawiadomiono, że i syn nie żyje. Wtedy mało kto, że miał jakiś dowód. Nam nie wolno było żadnych dowodów, żadnych zapisków mieć. Nic przy sobie nie wolno było trzymać.

Później znów zrobili mobilizację na akcję „Burza” i znów poszedłem ale do oddziału porucznika „Almy”. Całością dowodził Stanisław Prus „Adam”. Staliśmy w ordynackich lasach. Potem żeśmy przeszli przez rzekę i wtedy poszliśmy w nocy aż do Krasnobrodu za Górą. Tak się nazywało to miejsce, tam gdzie kaplica świętego Rocha jest. Tam żeśmy byli kilka dni i przyjechali już do nas oficerowie berlingowcy i mówią żeby przejść do nich to będziemy w wojsku. „Adam” nie chciał się zgodzić. Później już w dzień wyszliśmy przez Krasnobród, Jacnię i przed Kosobudami do Wólki Wieprzeckiej. Było nas dużo bo to mobilizacja była. To już było parę setek bo to nie jeden oddział był. I znów przyjechali wieczorem oficerowie w polskich mundurach i Ruskie i mówią znów żeby do nich dołączyć do wojska ale „Adam” też nie chciał się zgodzić. „No to trudno to my tu przyjedziemy jutro rano” - zapowiedzieli. To już można było wiedzieć co to może być. Transporty pójdą na białe niedźwiedzie. Wtedy w wieczór, gdy już tak dobrze ciemno było, zbiórkę zrobił ten „Alma”, lży mu tak polecieli i mówią: „Panowie, żołnierze wiedźcie o tym, że musimy skapitulować. Nie mamy jak z tą potęgą wojować. To nie ma co. To są marzenia i teraz rozchodźcie się gdzie kto może”. Wtedy znów stamtąd, tędy na Szewnię i Jacnię poszliśmy. Już nas kupa była bo wtedy już byli powołani z Jacni, z Bondyrza. Każdy już rozchodzi się do domu. Przychodzę i stukam do domu. Ojciec mówi „Kto tam?” No ja przyszedłem – odpowiadam. „A ha – mówi - jużś nawojował?”

Był taki sąsiad Zawisłak z Kaczórek z UB. Spotkał mnie i mówi „Ja się na tobie gówniarzu przejadę, zobaczysz”. No i co robić? Zeszliśmy się tu

w czterech, których objęła mobilizacja. Wisiały afisze mobilizacyjne, że jest pobór do wojska czterech roczników. I co? Trza było iść, wybrane było już to co lepsze a i tak jeszcze próbowałem uciekać z koszar. Wtedy z kolegą obydwa żeśmy prysnęli z Zamościa z koszar. Tylko, że on był na punkcie zbornym a ja już był przydzielony i znów do saperów kochanych. Jak to mówią, że saper tylko się raz w życiu omyli, więcej się nie omyli. Wpadli tu za mną do domu i niewiele brakowało żeby nas obydwo z tym kolegą złapali bo przyszedł do mnie i ledwie cośmy wyszli a tu już i porucznik ruski. Ja byłem w batalionie samodzielnym saperów i wszystkie oficery były ruskie. I co mamy robić? Bożesz kochany! Matka płacze, trzyma się za serce bo to ten ruski skakał, klon, że on tu zabije. Ojciec gada - „ Jak on tu przyjdzie to my tam przyjedziem”. Rano wstał, konia nakarmił, na wóz i wio do Zamościa bo to wtedy samochodów nie było. Ten mój kolega, z którym uciekłem, Kurantowicz Stanisław nie chciał iść. No i co? Capnęli go i trzy lata był na Syberii. Zajechaliśmy i ojciec poszedł tam do koszar, że syn przyjechał. Ja przyszedł a oni tak patrzyli się tylko i mnie od razu do ciupy a tam były jeszcze carskie piece takie duże, kręgle i tak między piecem a ścianą była luka. Jedzenia nawet nie przynieśli to chłopaki z tej kompanii co i ja byłem, przynosili mnie jedzenie i tą dziurą między piecem a murem menażkę podawali. Jak się najadłem znów przez dziurę menażkę zabierali. Przyszedł major, dowódca batalionu tego a nas gdzieś ze czterech siedzi. Pyta się jednego, drugiego, trzeciego za co siedzi. Mnie też zapytał. „A ty?” To ja mówię, że pojechałem do domu bo chciałem se bieliznę wziąć i przyjechałem z powrotem. „Charaszo, pajdiosz w strachnyj (karny) batalion”. Widzę, że to będzie źle. Przyniósł mnie jeść jeden i ja mówię - Ty zawołaj mnie szefa. Szef przyszedł i pyta - „Co ty chcesz?” Ja mówię - Panie szefie trza cholera coś zrobić bo oni (Rosjanie) tylko czekali żeby wysłać karniaków tam gdzie najgorsze. „No dobrze – mówi - ale jak to cholera zrobić?”. Miałem jeszcze parę czerwieńców, bo to jak Ruskie weszli to nie tylko ruble ale i czerwienice mieli. Jeden czerwieniec ciągnął 10 rubli. Daję mu te czerwienice i tam panie do ciotki. Tak nazywali panie co za parkanem handlowały. Każda handlująca nazywała się ciotka. Szef poszedł, kupił musi ze dwie buteleki tj. litr wódki. Siedli tam we trzech, popili i on zaczął ich tam urabiać. Dowódca kompanii był bardzo dobry chłop, bo ten dowódca plutonu to cholery takiej kawałek było. On mnie powiedział, że każdy akowiec to bandyta. Każą mnie żeby przyść. Wartownik prowadzi mnie do kancelarii trzeciej kompanii, bo ja byłem w trzeciej kompanii. Pytają mnie - „Jak tam. Czegoś uciekał? Dezerteria!” A dowódca kompanii na to „Ciszy, ciszy”. A ten dowódca

plutonu skakał jak pierun i gada - „Dezterer, dezterer! Jak budiesz jeszcze raz ubierzac, ubiju ciebia”. A ja sobie myślę, jak ja bym uciekł to ty byś mnie ubił akurat ale mówię - Ja nie będę uciekał. „No to biery swoi wieszczy”. Poszedłem, bierę plecak, chce iść, a wartownik mnie nie chce puścić i „rozwietku” chce. Czekałem a oni się popili cholera. Znow przynieśli mnie tam jedzenia i ja i znow mówię temu szefowi, że nie chcą mnie wypuścić. „Zaraz cię puszczą”. Poleciał do kancelarii, dowódca kompanii wypisał i zwolniony. Ale do końca byłem dezterer. Tutaj jak poszedłem do wojska to już UB się zainteresowało. Oni wiedzieli, że ja byłem w AK, już w wojsku wiedzieli. Robiliśmy tam koło Sitańca niedaleko kościoła. Był taki rów z wodą i tam Niemcy mostek wysadzili. Pozakładali miny przeciwczołgowe i tam żeśmy robili. Dwóch takich starszych chłopów co z Rosji przyszło, nieśli taką belkę i rzucili tę belkę prosto na te miny, tak że sześć trupy od razu było. Dalej porucznik siedział pod słupkiem przy szosie i prosto w czoło dostał. Taki mieliśmy saperski chrzest. Później wyjechaliśmy na most za Krasnymstawem, taki kolejowy most. Tam zaczęliśmy robić ale samochody przyszli, siadaj i wio już pod Wisłę. Na Wiśle front stał i tak żeśmy tutaj w Puławach byli. Tam roboty było do choroby. Praga była już zdobyta i nas szykują na Pragę ale 17 września ofensywa się rozpoczęła i Warszawa została wolna. Tam tylko coś z batalion wojska niemieckiego złapali a tak pouciekali cholery. W Warszawie znow robiliśmy most. Taki drewniany, szeroki i tam żeśmy trochę porobili. Przychodzą „zabirajsa” i znow dalej. Jak nas przywieźli do Warszawy to szafów nabieraliśmy na Pradze, przewróciliśmy dnem do góry, plecami i na tym żeśmy spali. Okna żeśmy dyktami pozabijali. Ropą świeciliśmy bo takie tam zrobili kaganki tak, że później jeden drugiego nie mógł poznać takie czarne my byli. Z Warszawy pod Sieradz na Wartę nas wywieźli. Tam żeśmy znow most robili, ale najgorzej bo na tej rzece było dwa filary i jeden filar Niemcy wysadzili, a drugi został się bo gdzieś czy co źle podłączyli, czy co. Trzeba było rozminować ten most. Później pojechaliśmy pod Wrocław.

Jak poszedłem do wojska we wrześniu 1944 to wyszedłem w 1947 roku.

opr. Maria Działo



Józef Kukułowicz z sanitariuszką Marią Drygas w obozie „Woiny”



Od lewej: Marian Dobek, Bogdan Lisicki, Józef Kukułowicz, na drzewie Tadeusz Szpinda



Józef Kukułowicz w oddziale leśnym „Woiny”



Józef Kukułowicz w Ludowym Wojsku Polskim
jako saper (pierwszy od prawej)

Spis treści

Stanisław Skubis „Hel”

W plutonie „Pazura” z oddziału „Corda”3

Maria Działo

Kurierka Komendy Obwodu Biłgoraj21

Marek Skrzyński

„Magik” z oddziału „Wira”27

Józef Kukułowicz „Sybirak”

Relacje żołnierza z oddziału „Woyny”38